9 kwietnia 2026 NR 82 (18475)

Sport

81 LAT CZWARTEK UKAZUJE SIĘ OD 1945



STS PUCHAR POLSKI

Górnik Narodowy

Wydanie papierowe ISSN 0137-9305
Wydanie cyfrowe ISSN 3072-0575

Sport e5e5d9e754

Z DRUGIEJ STRONY



Paweł Czado

Garnitur

Choć w dzieciństwie Zbigniew Boniek, kopiąc piłkę na bydgoskich osiedlach, zachwycał się Górnikiem i Włodzimierzem Lubańskim - to pamięta, skąd wyszedł. Za wygraną z Zabrzanami obiecał piłkarzom Zawiszy nowe garnitury. Tak, żeby przyjeżdżając na finał Pucharu Polski, prezentowali się godnie...

Wiadomo było, że gospodarzom, którzy wyszli na plac bez obcokrajowca w składzie, nie zabraknie ambicji, że będą chcieli przed całą Polską się pokazać. To oczywistość, jednak muszę podkreślić: na tak jednostronnym paliwie nie da się wygrać tak ważnego meczu, nie da się awansować. Zwłaszcza w starciu z rywalem grającym na co dzień o trzy poziomy wyżej. Ewidentnie musi być coś jeszcze. Tego „jeszcze" tym razem Zawiszy zabrakło. Miałem wrażenie, że Górnik nie tylko wygrał, ale uczynił to przy okazji jak najmniejszym nakładem sił.

Przez pół godziny utrzymywał się rezultat bezbramkowy. Potem goście strzelili gola. „Raz, a dobrze" tym razem w zupełności wystarczyło. Przywódca miejscowych szalikowców po stracie gola tak zareagował na to przez megafon: „Panowie, my i tak zaszliśmy daleko. My nic nie musimy, możemy tylko pomóc naszym piłkarzom dopingiem!". Nie udało się, ale wdzięczni fani po ostatnim gwizdku podziękowali ulubieńcom brawami. Rzeczywiście, doping przez cały mecz mógł robić wrażenie!

Wczorajsze spotkanie wzbudziło ogromne zainteresowanie, miejscowi kibice byli nim mocno podekscytowani. Jeśli chodzi o przyjazd Górnika - to nic nowego. Przyjazd Zabrzan do Bydgoszczy zawsze wzbudzał emocje. Opowiadał mi o tym Piotr Graszek, kibic Zawiszy. Symbolem - i rekordem przy okazji - jest mecz z sierpnia 1977 roku. Wtedy w ekstraklasie padł remis 1:1, gola dla Zabrzan wbił Jerzy Gorgoń, ale nie to jest najważniejsze, lecz rekordowa frekwencja! Według szacunków pojawiło się na trybunach nawet 45 tysięcy spragnionych emocji kibiców, dalsze 10 tysięcy już się nie zmieściło i miało pozostać przed bramami... - Ja nie zostałem. Miałem wtedy 7 lat i byłem tak zdesperowany, żeby zobaczyć ten mecz, że... przeszedłem przez płot! - wspominał z uśmiechem Graszek.

Zawisza był wtedy klubem wojskowym i generalicja zdecydowała, że wobec takich tłumów trzeba wybrać nietypowe rozwiązanie. W efekcie kibice mogli siedzieć na schodach w przejściach, zezwolono im też w końcu na zejście na bieżnię oraz zajęcie przestrzeni za bramkami! Dziś by to nie przeszło, ale dzięki tym okolicznościom to była największa publika w dziejach, jaka kiedykolwiek zasiadła na meczu Zawiszy. Magnesem był Górnik. Środowe spotkanie było sprawdzianem dla całej miejscowej społeczności - pod różnymi względami. Policja przed meczem zwróciła się do mieszkańców Śródmieścia i Osiedla Leśnego, a także do pacjentów i odwiedzających chorych w niedalekim Wojskowym Szpitalu Klinicznym o „zaplanowanie przemieszczania się z uwagi na zamknięcie ruchu na poszczególnych ulicach lub jego ograniczenie w tym rejonie, a przede wszystkim duże natężenie ruchu pieszych i zmotoryzowanych na ulicach dojazdowych do stadionu". Nie dziwiły mnie te apele. Korki potężne! Sami ostatnie dwa kilometry przeszliśmy na piechotę. Autobusem zdążylibyśmy może na drugą połowę...

Górnicy w finale

Po ćwierć wieku jedenastka z Zabrza ponownie zagra o główne trofeum Pucharu Polski! Drużyna trenera Michala Gašparika wykonała zadanie w Bydgoszczy.

Atmosfera przed meczem w Bydgoszczy przypominała to, co było prawie pół wieku temu, kiedy mecz Zawiszy z Górnikiem w Bydgoszczy obejrzało blisko 50 tys. widzów (piszemy o tym w komentarzu). Zakorkowane ulice na godziny przed rozpoczęciem spotkania, rzesze fanów ciągnące na Stadion im. Zdzisława Krzyszkowiaka, dwa pociągi jadące przez całą Polskę wypełnione kibicami 14-krotnego mistrza Polski. Starsi fani Zawiszy wspominali sztamę pomiędzy ich ukochanym klubem, który walczy – z dobrym skutkiem – o powrót do elity polskiego futbolu, a Górnikiem. Było to lata temu, ale sprawiło, że atmosfera w mieście i na samym obiekcie, który był wypełniony po brzegi, była bardzo dobra. Zero bluzgów, wyzywania; świetny doping z obu stron!

GŁOS TRENERÓW

Adrian STAWSKI: - Gratulacje dla Górnika, dla trenera Gašparika, który awansował do finału Pucharu Polski. Kiedy byłem trenerem Bytovii, przegrywaliśmy z Legią, z Cracovią, które później to trofeum zdobywały. Życzę, żeby podobnie było i z Zabrzanami. Lżej będzie nam na sercu. Jest niedosyt, ale zespół będzie rósł w lidze.

Michal GAŠPARIK: - Parę miesięcy temu, kiedy tankowałem na stacji benzynowej, podszedł do mnie kibic i pytał o puchar. Powiedział, że przekłada wesele zaplanowane na 2 maja. Podziękowania dla kibiców i chłopaków za wygraną, za awans!

Nie przestraszyli się

Trener Michal Gašparik - jak zapowiedział - desygnował do gry najmocniejszy skład. Nie było tylko pauzującego za kartki w pucharowych bojach Maksyma Chłania. – Dobrze, że Ukraińca nie ma, bo to piłkarz, który napędza ataki – mówili kibice Zawiszy, którzy liczyli na kolejną sensację z udziałem ich drużyny: w obecnej edycji rozgrywek wyeliminowała ona m.in. lidera I ligi, Wisłę Kraków. „Wygraj to dla nas! Zawisza wygraj to dla nas!" – skandowały tysiące bydgoskich kibiców.

Zaczęło się spokojnie z jednej i z drugiej strony. Trzeci obecnie zespół ekstraklasy nie forsował tempa, pewny swego. Gospodarze z kolei, mimo że trzy rozgrywkowe klasy niżej, nie przestraszyli się rywala i starali się grać swoje, jak w rozgrywkach trzecioligowych, gdzie wygrywają mecz za meczem i są na dobrej drodze do kolejnego awansu.

Raz, a dobrze

Pierwszy celny strzał to główka Yvana Ikii Dimiego przed upływem pierwszego kwadransa, ale za lekka, żeby zaskoczyć Michała Oczkowskiego. Minuty leciały, a na boisku nie działo się praktycznie nic. Nie było widać wielkiej różnicy, a dzielnie stawiających opór piłkarzy gospodarzy niosły trybuny. W środku pola bez kompleksów radził sobie 30-letni Michał Cywiński, starający się podrywać miejscowych z przodu.

W końcu Górnikom udało się jednak celnie uderzyć i od razu umieścić futbolówkę w siatce! Płasko z kilkunastu metrów uderzał mający ostatnio dobry okres Lukas Sadilek. Lot piłki Czecha zmienił jeszcze starający się z przodu Ikia Dimi i bramkarz Zawiszy nie zdążył ze skuteczną interwencją.

Trybuny wyskoczyły

Po przerwie obrazy gry nie uległ zmianie. Górnicy mieli wszystko pod kontrolą, a Zawiszy brakowało mocy, żeby poważniej zagrozić stojącemu między słupkami Marcelowi Łubikowi. Na 2:0 mógł podwyższyć Sondre Liseth. Strzelił mocno, ale skończyło się tylko na rożnym. Po godzinie gry z boiska zszedł właśnie Norweg, a w jego miejsce do przodu – jak w ligowym meczu z Cracovią w sobotę – został przesunięty Ikia Dimi, który coraz pewniej czuje się w zespołu już finalisty Pucharu Polski.

Szansę na gola miał rezerwowy Kamil Lukoszek, ale dobrze interweniował Oczkowski. To była najbardziej konkretna sytuacja Górników po przerwie. Przyjezdni wykonywali sporo rzutów różnych, ale niewiele z tego wynikało. W 89. minucie część trybun Stadionu im. Krzyszkowiaka wyskoczyła w górę. Kibice po wolnym widzieli już piłkę w siatce Górnika, ale ta trafiła w boczną jej część. W ostatnich minutach Zawisza poderwał się do ataków, do do wyrównania nie udało się jednak doprowadzić.

Teraz Legia

Po wykonaniu zadania i zameldowaniu się w finale Pucharu Polski, ekipa z Zabrza zostaje na północy Polski, gdzie będzie się przygotowywała do sobotniego meczu z Legią przy Łazienkowskiej. Górnicy w lidze będą chcieli podtrzymać zwycięski kurs, na którym są w ostatnim czasie!

Z Bydgoszczy
Michał Zichlarz

Zwycięzców się n

Rozmowa z **Rafałem Janickim**, stoperem Górnika



Fot. Piotr Matusewicz / Press Focus

Rafał Janicki (nr 26) stanął – a może raczej skoczył? - na wysokości zadania w meczu z Zawiszą.

Historia pisze się na naszych oczach: po 25 latach Górnik znów w finale Pucharu Polski. Jakie to uczucie?

- Chciałbym, żeby się napisała w całości, bo jeszcze jeden krok przed nami. Fajne uczucie, możemy się cieszyć, ale misja nie jest jeszcze skończona.

Ale sam awans do finału powoduje, że radość jest w człowieku?

- No jest, to prawda. Tyle lat gramy już w Górniku na przykład z Erikiem (Janżą – dop. aut.), że bardzo chcieliśmy doczekać tego wielkiego meczu. No i doczekaliśmy. A teraz od nas zależy, czy zrobimy ten ostatni mały kroczek do pełnej satysfakcji.

Mieliście poczucie pełnej kontroli nad meczem?

Czy była w którymś momencie obawa, że Zawisza – nie mając nic do stracenia – przyciśnie?

- Nie uważam, by nam rywale zagrozili. Defensywnie mieliśmy mecz pod kontrolą. Wiadomo, że parę sytuacji gospodarzy kończyło się strzałem czy wrzutką, ale nie zagrozili nam kompletnie. Natomiast jeśli chodzi o grę, dużo mamy do poprawy, bo nie był to mecz najwyższych lotów z naszej strony. Ale zwycięzców – zwłaszcza półfinału – się nie sądzi!

Czy kiedy gra się o taką stawkę ma znaczenie, że rywal jest z trzeciej, drugiej, albo z piątej ligi?

- Nie. Ten mecz pokazał, że między nami i Zawiszą nie było tak wielkiej różnicy poziomu, na jaką wskazywałyby ligi, w których gramy. Siedząc na trybunach nie powiedziałbym, że my gramy w ekstraklasie, a Zawisza – trzy klasy niżej.

Przed wami w perspektywie – dwa wyjazdy do Warszawy!

- Przez chwilę jeszcze się pocieszymy z tego awansu, a potem – już skupimy się na ligowym meczu z Legią. Do finału Pucharu Polski jeszcze trochę czasu, przed nim bodaj trzy gry ligowe – oby więc

Sport e5e5d9e754

PUCHARU POLSKI - PÓŁFINAŁ

Zawisza Bydgoszcz – Górnik Zabrze

0:1 (0:1)

0:1 – Ikia Dimi, 32 min

ZAWISZA: Oczkowski – Wszołek, Golak, Staniak, Sławek - Cywiński, Kona (69. Bojas), Szramowski (46. Szumilas), Rak (82. Prałat) - Strzyżewski (69. Bogusiewicz), Kozłowski. Trener Adrian STAWSKI.

GÓRNIK: Łubik – Olkowski, Janicki, Josema, Janża – Ikia Dimi, Kubicki, Hellebrand (90. Bochniewicz), Sadilek (64. Lukoszek), Ambros (87. Donio) – Liseth (64. Massimo). Trener Michal GAŠPARIK .

Sędziował Damian Sylwestrzak (Wrocław). **Widzów** 20000 (komplet). **Żółte kartki**: Rak, Staniak.



Fot. Agnieszka Bielecki/PAP

Gola Yvana Ikii Dimiego dał Górnikowi awans do finału Pucharu Polski!

ie sądzi

wszystkim zdrowie dopisywało, wówczas się dobrze do niego przygotujemy.

Będzie dublet w tym sezonie?

- Nie wybiegajmy tak daleko w przyszłość. Przed nami Legia, róbmy małe kroki.

No właśnie: Legia już w sobotę. Myśli się o tym, grając taki mecz, jak ten w Bydgoszczy?

- No jak? Każdy z nas był skoncentrowany na tym, co „tu i teraz". Co będzie z Legią? Trener zdecyduje, czy zagramy podobnie jak w Bydgoszczy, czy inaczej. Patrząc na statystyki biegowe, GPS-y i tak dalej, nie było to porywające tempo gry, więc myślę, że nie można porównać tego spotkania do wysiłku ekstraklasowego. Jestem pewien, że każdy z nas na mecz z Legią będzie gotowy.

Jak mecz z Legią będzie wyglądać?

- Wiemy, jak grał Raków Marka Papszuna: prosta gra, fizyczna. Legia gra dziś podobnie, na Pogoni nie zagrała wielkiej piłki. Za to jest skuteczna, dobrze broni, przy stałych fragmentach robi zamieszanie. Taka jest ta nasza liga, Warszawianie z tego korzystają. Trzeba się mocno fizycznie nastawić do tego meczu, a okazje wtedy na pewno będziemy mieli.

Rajović i Adamski – dwaj napastnicy – to rośli i silni zawodnicy, typ „Rafał Janicki". Łatwiej się panu gra przeciwko takim, niż przeciw szybkościowcom?

- Zdecydowanie tak. Wolę takich, niż jakiegoś małego, który „pląta się między nogami". Można się sprawdzić fizycznie, powalczyć o głowę. Obaj nieźle współpracują, nieźle walczą, więc będzie to trudny mecz dla nas, obrońców.

Rozmawiali Mariusz Rajek, Michał Zichlarz

W delegację do Częstochowy

GKS Katowice 15. raz w historii zagra w półfinale Pucharu Polski. Czy po raz dziewiąty awansuje do finału?

GKS KATOWICE

Dzisiejszy mecz z Rakowem będzie niezwykle ważny dla Katowiczan. Po raz ostatni grali w półfinale Pucharu Polski w sezonie 2003/04. Wówczas mierzyli się z Lechem, z którym przegrali w dwumeczu 3:6. W finale Kolejorz pokonał Legię. Od tamtego czasu wiele w GieKSie się zmieniło. W następnym roku klub spadł z ekstraklasy, nie otrzymał licencji na grę na jej zapleczu i od czwartego poziomu rozgrywkowego rozpoczął długotrwały marsz w stronę elity, zakończony sukcesem w 2024 roku. W tym czasie GKS ani razu nie zagrał chociażby w ćwierćfinale Pucharu Polski. Rokrocznie musiał godzić się z porażkami. Odpadał w pierwszej rundzie zmagań, w 1/16 czy 1/32 finału. Dwukrotnie dostała się do 1/8 finału. To jednak marne pocieszenie dla klubu, który w przeszłości trzykrotnie triumfował w Pucharze Polski. W trwającym sezonie zła seria została przerwana. GieKSa jest o krok od awansu do finału rozgrywek, od spełnienia marzeń.

GieKSa historycznie

Wczoraj pisaliśmy, że GKS Katowice w 2026 roku znakomicie radzi sobie w meczach domowych. Przed własną publicznością ekipa Rafała Góraka nie poniosła ani jednej porażki. Gdyby więc losowanie półfinału Pucharu Polski było bardziej szczęśliwe, pisalibyśmy o tym, ze Katowiczanie zagrają z dwunastym zawodnikiem na trybunach, że dzięki temu są faworytami. Jasne, kibice ze stolicy województwa śląskiego zazwyczaj wybierają się sporą liczbą w delegacje, ale to nie to samo co gra w twierdzy przy Nowej Bukowej.

Czy historycznie ma to jednak jakiekolwiek znaczenie? Do tej pory GKS awansował do półfinału Pucharu Polski 14 razy. W tym czasie 12-krotnie grał mecze wyjazdowe (w większości przypadków półfinały odbywały się na zasadzie dwumeczu). Jak wyglądały te spotkania?

- wyjazdowy półfinał w 1967 roku GKS przegrał z Wisłą Kraków, późniejszym triumfatorem rozgrywek;
- w 1971 roku wygrał na wyjeździe z Zagłębiem Sosnowiec 2:1, ale nie awansował do półfinału, bo u siebie przegrał 0:2;
- w 1985 roku dostał się do finału po tym, jak pokonał w Gdyni Bałtyk 2:1 (wcześniej wygrał 1:0 u siebie);
- 1986 triumfował w Pucharze Polski pomimo że przegrał w półfinale na wyjeździe z Pogonią Szczecin 1:2 (u siebie wygrał 3:1);
- w 1987 w półfinale GieKSa pokonała ŁKS w dwumeczu, remisując w Łodzi 3:3;
- w 1989 roku GKS przegrał półfinałową batalię z Legią, przegrywając na wyjeździe 0:2 (u siebie wygrał 1:0);
- w 1990 roku zremisował 1:1 w Krakowie z Hutnikiem (u siebie wygrał 2:0);
- w 1991 roku GieKSa pokonała na wyjeździe Zawiszę Bydgoszcz 1:0, później wygrywając finał PP z Legią;
- w 1993 roku Katowiczanie wygrali półfinałowy dwumecz z Wojskowymi, w Warszawie remisując 0:0 (u siebie 1:0);
- w 1994 roku ŁKS okazał się lepszy od GKS-u – mecz w Łodzi zakończył się porażką przyjezdnych 0:1 (w Katowicach 0:0);
- w 1995 roku nie rozgrywano dwumeczu, a GieKSa na wyjeździe wygrała z Lechem po serii rzutów karnych;
- w 2004 roku, gdy Katowiczanie po raz ostatni grali w półfinale PP, przegrali z Kolejorzem na wyjeździe 2:4.

Podsumowując – bilans półfinałowych wyjazdowych meczów GieKSy prezentuje się następująco: cztery wygrane, trzy remisy, pięć porażek. Jasne, idealnie nie jest, ale – jeśli historia ma jakiekolwiek znaczenie – jest to bilans wyrównany, który potwierdza, że wszystko może się wydarzyć.



W czterech dotychczasowych meczach Pucharu Polski Bartosz Nowak zdobył pięć bramek.

Pierwszy raz w pucharze

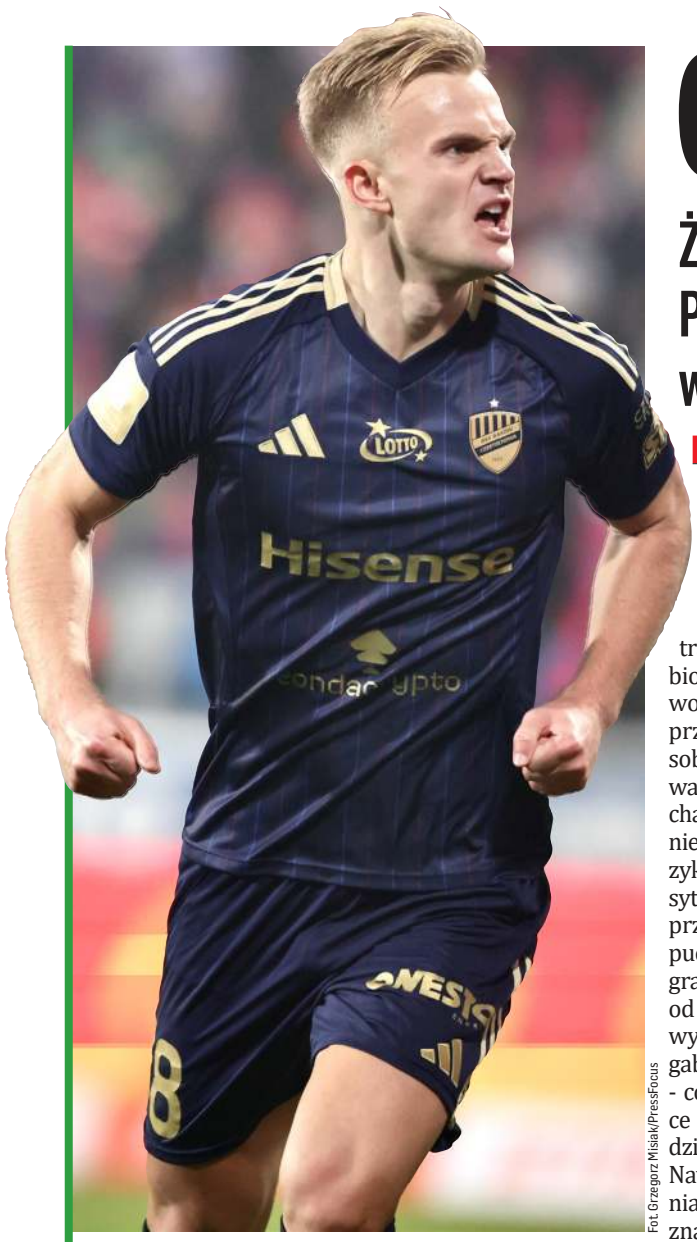
A skoro już jesteśmy przy historii, warto podkreślić, że mecz Rakowa z GKS-em Katowice będzie pierwszym starciem tych drużyn w rozgrywkach Pucharu Polski. Co jednak ciekawe, niewiele brakowało, a zespoły te spotkałyby się w finale zmagań w 1967 roku. Jak wspomnieliśmy, GieKSa przegrała wówczas półfinałowy mecz wyjazdowy z Wisłą. A Biała Gwiazda w finale pokonała... trzecioligowy Raków Częstochowa, który wcześniej wygrał u siebie z Odrą Opole 2:1. GKS-owi w półfinale zabrakło szczęścia. W drugiej połowie Katowiczanie mogli wygrywać 2:0, gdy Eryk Anczok nie trafił do pustej bramki, a Gerard Rother trafił futbolówką w słupek. To zemściło się na GieKSie w 63 minucie, gdy Wiesław Lendzion zdobył jedynego w meczu gola, strzelając głową. Tak właśnie GKS stracił szansę na pierwszy awans do finału Pucharu Polski w historii i przy okazji - na pierwszy mecz z Rakowem w tych rozgrywkach. Na rywalizację tych drużyn trzeba było czekać prawie 60 lat.

Wiele pytań

GieKSa przyjedzie do Częstochowy w dobrym nastroju, po wygranej 1:0 z Wisłą Płock. Na tym piłkarzom Rafała Góraka zależało, żeby po przerwie reprezentacyjnej cieszyć się ze zwycięstwa, które napędzi ich przed półfinałową rywalizacją z Rakowem. Co może wydarzyć się przy Limanowskiego? Wszystko! Zespoły w lidze sąsiadują ze sobą w tabeli. Oba przeżyły już gorsze i lepsze chwile. GieKSa na razie jest najlepiej punktującą drużyną w 2026 roku. Czy to jednak będzie miało znaczenie w pucharowej rywalizacji? Czy dyspozycja z ekstraklasy przełoży się na Puchar Polski? Pytań można postawić wiele, odpowiedzi otrzymamy dopiero wieczorem.

Kacper Janoszka

Sport e5e5d9e754



Jonatan Braut Brunes przesądził o dwóch wygranych Rakowa z GieKSą w lidze. Czy strzeli Katowiczanom gola również w Pucharze Polski?

Fot. Grzegorz Misiak/PressFocus

Gra o wszystko

PUCHAR POLSKI - PÓŁFINAŁ
Częstochowa, 18.30
■ Raków - GKS Katowice
TVP Sport

Żarty się skończyły. Wobec ligowych niepowodzeń Puchar Polski stał się absolutnym priorytetem w Częstochowie. Stawka meczu z GieKSą jest ogromna.

RAKÓW CZĘSTOCHOWA

Raków teoretycznie wciąż ma szansę nawet na mistrzostwo Polski, do drugiej Jagiellonii traci tylko trzy punkty, ale biorąc pod uwagę częstotliwość punktowania wiosną, przy Limanowskiego zdają sobie sprawę, że zakwalifikowanie się do europejskich pucharów przez ligę jest zadaniem obarczonym dużym ryzykiem niepowodzenia. W tej sytuacji wszystkie siły zostają przekierowane na krajowy puchar, w którym dwie wygrane dzielą Częstochowian od triumfu na PGE Narodowym, kolejnego trofeum do gabloty, sowitej premii oraz - co chyba najbardziej kuszące – miejsca w trzeciej rundzie eliminacji do Ligi Europy. Nawet w razie niepowodzenia na tymże etapie, Raków znalazłby się w decydującej rozgrywce o Ligę Konferencji. Ścieżka kwalifikacji jest zatem o wiele łagodniejsza niż z trzeciego czy czwartego miejsca w ekstraklasie.

Mają doświadczenie

Puchar Polski poza tym stał się znakiem firmowym Rakowa pod wodzą Marka Papszuna w trzeciej dekadzie XXI wieku. Częstochowianie sięgali po to trofeum w 2021 oraz 2022 roku, a w 2023 musieli uznać wyższość Legii dopiero po konkursie karnych. W poprzednim sezonie zaliczyli dużą wpadkę, odpadając w 1/32 finału z Miedzią Legnica, dlatego chęć powetowania sobie tamtego niepowodzenia w obecnej kampanii jest podwójna.

Łukasz Tomczyk staje przed szansą osiągnięcia pierwszego znaczącego sukcesu. Możliwość występu 2 maja w Warszawie byłaby z pewnością nobilitacją dla szkoleniowca na dorobku. Z drugiej strony - odpadnięcie na pierwszej poważniejszej przeszkodzie poczytane będzie jako klęska, a w połączeniu z brakiem sukcesu w lidze może nawet przesądzić o zmianie trenera po sezonie...

Wszystko w ich rękach

Stawka i presja są zatem ogromne. - Ten mecz jest najważniejszy w tym momencie, a potem będzie każdy kolejny. Gramy z solidną GieKSą, która nieźle punktuje, ma też dobrych zawodników pod kątem jakości. Wierzę, że tę energię z końcówki meczu z Widzewem wniesiemy w mecz pucharowy. W lidze tak samo musimy jednak zbierać punkty, tabela jest bardzo spłaszczona i cały czas możemy walczyć o wyższe miejsca – mówi przed czwartkowym meczem trener, na którego w ostatnim czasie spadło sporo krytyki.

- Wszystko mamy wciąż w naszych rękach, nadal wszystko zależy tylko od nas, dlatego chcemy maksymalnie skupić się na pracy. Czy waga tego meczu jest większa niż ligowych? Do każdego przygotowujemy się tak samo, ale nie da się ukryć, że jest on superważny – dodaje Paweł Dawidowicz.

Sposobem Brunes?

Sugerując się jedynie tabelą ekstraklasy, nie dałoby się raczej wskazać faworyta czwartkowego meczu. Obie drużyny po 27 kolejkach zgromadziły po 39 punktów, mają niemalże identyczny bilans bramkowy: 36:34 Raków i 36:35 GieKSa. Wicemistrzowie Polski mają przewagę w spotkaniach bezpośrednich, oba mecze w tym sezonie wygrali 1:0, a bramkę na wagę trzech punktów zarówno w Katowicach, jak i w Częstochowie zdobywał Jonatan Braut Brunes. Czy Norweg i tym razem znajdzie sposób na golkipera Katowiczan? Co ciekawe, na inaugurację sezonu pokonywał Dawida Kudłę, a w rewanżu Rafała Strączka. Po stronie częstochowskiej są również statystyki – Raków wygrał z GKS-em pięć z sześciu ostatnich spotkań, w tym dwa jeszcze w I lidze.

Mariusz Rajek

Do końca walczyłem o Nowaka

Rozmowa z **Wojciechem Cyganem**, prezesem Rakowa

To najważniejszy mecz Rakowa w tym sezonie?

- Na pewno bardzo ważny. Patrząc na układ tabeli w ekstraklasie, każdy kolejny w lidze też będzie dużo ważył. Mecz z GieKSą oczywiście wywołuje ogromne zainteresowanie, bo zadecyduje o tym, czy pojedziemy 2 maja na PGE Narodowy. Pod tym względem trzeba go traktować wyjątkowo.

Pan się ucieszył, gdy w trakcie losowania okazało się, że zagracie ten mecz w Częstochowie?

- Generalnie tak, bo mimo wszystko jest to jakiś handicap. Mecze przy Nowej Bukowej zazwyczaj toczą się przy pełnych trybunach, świetnej atmosferze, która niesie gospodarzy. Przewaga swoich kibiców w czasie takiego meczu ma znaczenie, a GieKSa będzie pozbawiona tego atutu.

Przed takimi spotkaniami odczuwa się dodatkowy dreszcz emocji, czy po pewnym czasie tak się już do tego nie podchodzi?

- Jeżeli komuś na czymś zależy i stara się, żeby to wyglądało jak najlepiej, to bez względu na to, czy jest cukiernikiem, szewcem, czy pracuje w piłce, zawsze będzie do tego podchodził z emocjami. Zawsze chcemy, aby efekt końcowy był możliwie jak najlepszy, więc tak, te emocje są zawsze.

Da się wskazać faworyta tego spotkania? W ekstraklasie oba kluby mają tyle samo punktów i prawie identyczny bilans bramkowy.

- Nawet nie patrząc na tabelę, to jest mecz dwóch wyrównanych drużyn, które marzą, aby pojechać na Stadion Narodowy. Tutaj nie będzie żadnych wymówek i możliwości rehabilitacji w kolejnym meczu, przegrany po prostu odpadnie. Generalnie w rozgrywkach pucharowych ciężko wskazywać faworyta, nawet gdy drużyny są z różnych lig. Tutaj mogą zaważyć detale.

Przewaga Rakowa to dwie wygrane ligowe 1:0, po trafieniach Brunesa. Wierzy pan, że coś się może zdarzyć po raz trzeci?

- Teoretycznie jest to możliwe. Mam jednak nadzieję, że nie będziemy do ostatnich sekund drżeć o finalne rozstrzygnięcie. Scenariusza ze Świdnika, gdzie straciliśmy bramkę w doliczonym czasie gry, na pewno nie chcielibyśmy powtórzyć.

Spędził pan sporo czasu w GKS-ie. Jakie jest pierwsze wspomnienie z tamtych czasów?

- Ogrom pracy, która była wtedy do wykonania. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, jak GKS wyglądał w 2010 roku. Wtedy słyszeliśmy, że współwłaściciele nie potrafią się z sobą dogadać, nad klubem wisiało widmo upadku, kolejne problemy licencyjne, z płynnością finansową etc. Doprowadzenie klubu do miejsca, gdzie jest dzisiaj jest też wynikiem pracy wykonanej w tamtych trudnych momentach. Dzisiaj kibice GieKSy mogą mieć powody do dumy, do tego mają piękny stadion, dobre wyniki, rozwój na wielu płaszczyznach. W jakimś sensie też odczuwam z tego dumę, mając poczucie tamtego nakładu pracy. Gdyby nie ona, pewnie byłoby ciężko o takie perspektywy dla klubu.

GKS wracając do ekstraklasy w niektórych aspektach wzorował się właśnie na Rakowie. Obecnie wy próbujecie podpatrywać dobre wzorce z Katowic?

- Najłatwiej na to pytanie byłoby odpowiedzieć, że patrzymy z zazdrością na stadion i całą infrastrukturę, i w ten sposób zamknąć dyskusję. Tyle że na to nie mamy bezpośredniego wpływu. Ciężko to tak rozbierać na czynniki pierwsze, nie jestem obecnie tak blisko klubu z Katowic, nie posiadam takiej insiderskiej wiedzy, ale na pewno warto zwrócić uwagę na dobrą współpracę z kibicami w ostatnich latach, czego efektem jest fantastyczna atmosfera na stadionie przy Nowej Bukowej. Warto także wskazać na śmiałe i odważne podejście do wielosekcyjności.

Kilku zawodników z obecnej kadry GKS-u grało w Rakowie. Zapytam tylko o jednego: żałuje pan, że Bartosza Nowaka nie ma dziś w Częstochowie?

- Ja to już mówiłem jakiś czas temu. Osobiście bardzo tego żałuję, bo to jest chłopak, który bardzo dobrze pasował do naszej szatni, był powszechnie lubiany, dawał radość kibicom, choć w ostatnim sezonie zdarzały mu się także słabsze mecze. Finalnie nasze drogi się rozeszły, teraz robi z GKS-em kapitalną robotę. Mogę powiedzieć, że do końca walczyłem o zatrzymanie go w Częstochowie. Teraz trzymam za niego kciuki, poza czwartkowym meczem oczywiście.

Po meczu z Widzewem na trenera Łukasza Tomczyka spadła pierwsza dość poważna fala krytyki, nie tylko za wynik, ale przede wszystkim za sposób prowadzenia drużyny i decyzje personalne. Szkoleniowiec może spać spokojnie, czy należy się liczyć ze zmianą po zakończeniu sezonu?

- Nie chciałbym w ogóle wchodzić w taką narrację, bo to jest sytuacja, w której każda odpowiedź może prowadzić do dodatkowych podtekstów czy domysłów. Trener wraz ze sztabem robią wszystko, aby zawodnicy na boisku prezentowali się jak najlepiej. Pewnie w meczach, które za nami, można było osiągnąć więcej, ale w tym momencie najważniejsze jest skupienie na meczu z GKS-em, a potem w niedzielę w Lublinie. Zastanawianie się nad przyszłością trenera teraz nie ma sensu.

Rozmawiał Mariusz Rajek



Wojciech Cygan nie chce w tym momencie dyskutować o przyszłości Łukasza Tomczyka w Rakowie.

Fot. Mateusz Sobczak/PressFocus

Sport e5e5d9e754

Dżentelmeński układ

Duma Podlasia, podpisując nowy kontrakt z Adrianem Siemieńcem, doceniła szkoleniowca za dotychczasowe sukcesy.

JAGIELLONIA BIAŁYSTOK

W Wielką Sobotę Jagiellonia mierzyła się w hicie kolejki z Lechem, ale najważniejsze wydarzenie miało miejsce przed spotkaniem. Wtedy to Adrian Siemieniec wraz z całą swoją rodziną ogłosił na murawie stadionu w Białymstoku, że przedłuża kontrakt do 2027 roku. Klub poinformował, że więcej szczegółów przedstawi na konferencji. Okazało się, że nowa umowa to układ idealny dla obu stron.


Fot. Michał Kość/PressFocus

Wsparcie rodziny jest dla Adriana Siemieńca bardzo ważne.

Szykuje się wyjazd?

Czas jej podpisania także jest szczególny. Duma Podlasia w ostatnich sześciu ligowych spotkaniach wygrała tylko raz, z GKS-em Katowice, ale wiara w trenera, który dał klubowi historyczne mistrzostwo Polski (2023/24), jest bardzo duża. Dotychczasowa umowa wygasała wraz z końcem tego sezonu i chociaż klub miał opcję automatycznego przedłużenie jej o rok, to z niej... nie skorzystał.

Podpisany niedawno kontrakt jest iście dżentelmeński, chociaż jak poinformował Adrian Siemieniec, negocjacje były długie i czasami trudne. W umowie, która została przedłużona o rok, znalazła się specjalna klauzula wykupu szkoleniowca, która jest jednak możliwa tylko dla klubów zagranicznych, a także w określonych terminach. To ukłon klubu w stronę trenera, który zapewnił mu sukcesy – Ta opcja daje mi swego rodzaju pewność, że kiedy pojawi się dla mnie perspektywa rozwoju sportowego i będę czuł gotowość oraz to, że krok, który chcę wykonać jest dla mnie sportowym awansem, to te zmiany będą mogły nastąpić – tłumaczył na konferencji prasowej szkoleniowiec. Wszystko ma jednak... menedżerskie dno.

Nie dla polskich klubów

Czasy się zmieniają i teraz na rynku transferowym, ale także trenerskim, dużą rolę odgrywają właśnie agencje menedżerskie. Na początku stycznia Adrian Siemieniec związał się z jedną z nich. SEG Football reprezentuje m.in. Pepa Guardiolę oraz wielu trenerów z ligi holenderskiej, z Robinem van Persiem na czele (Feyenoord Rotterdam). Po tej informacji pojawiły się plotki, że szkoleniowcem interesują się kluby z regionu Beneluksu.

Specjalna klauzula i międzynarodowa agencja sugerować mogą, że wspólny projekt Jagiellonii i Adriana Siemieńca zmierza w kierunku końca. Jednak wcale tak nie musi być. Duma Podlasia walczy o czołowe miejsce w lidze, gra w europejskich pucharach i wraz z trenerem stale się rozwija. Zatem ewentualna nowa posada musi być realną trampoliną, a nie przypadkową miną. 34-latek nie pozostawił jednak złudzeń, że z Białegostoku wcale się nie wyrywa. – Obecność tej klauzuli nie oznacza, że chcę odejść z Jagiellonii. Oznacza, że chcę otworzyć swoje nazwisko na rynek zagraniczny i zobaczyć, co się wydarzy. Bo obecność takiej opcji nie oznacza, że z niej skorzystam – podkreślił opiekun Dumy Podlasia.

Klauzula tylko i wyłącznie dla zagranicznych klubów jest też symboliczna dla polskich konkurentów. W kontekście zatrudnienia Siemieńca pojawiały się spekulacje, że Robert Dobrzycki, właściciel Widzewa, chciał ściągnąć trenera wraz z dyrektorem sportowym, Łukaszem Masłowskim. Jednak w Łodzi pracuje obecnie Aleksandar Vuković, który ma umowę do końca czerwca 2027 roku. Siemieńcem mógł być także zainteresowany Lech. Nielsowi Frederiksenowi kończy się kontrakt po tym sezonie, a sam prezes Karol Klimczak przyznał, że 34-letni trener pasowałby do modelu klubu. Teraz wszyscy - najpewniej -muszą obejść się „smakiem”...

Miłosz Cebo

Górnik? To nie był łatwy moment

Rozmowa z **Wiktorem Nowakiem**, piłkarzem Wisły Płock i młodzieżowej reprezentacji Polski

Po wygranych w Krakowie i w Białymstoku wydawało się, że wróciliście na właściwy szlak. A tu przyszła porażka w Katowicach: bolesna, bo po golu straconym w 93 minucie...

- Rzeczywiście bolesna. Parę dobrych momentów w tym meczu mieliśmy, co najmniej jedną bramkę powinniśmy zdobyć. A wtedy na pewno byśmy nie przegrali.

Daleko szukać nie trzeba. Pan miał świetną okazję w 89 minucie. Co poszło w niej nie tak?

- Miałem chwilę zawahania, jak uderzać piłkę. Kątem oka widziałem nabiegającego na mnie obrońcę i w ostatniej chwili zmieniłem decyzję: uderzyłem wewnętrzną częścią stopy. Za lekko, niestety...

Mecz z GieKSą skwasił panu humor, bo wcześniej wszystko było OK: młodzieżówka wygrała oba marcowe mecze. Spogląda pan czasem na mapę, jak Los Angeles wygląda?

- Nie, nie myślę w ogóle o tym, że za dwa lata są igrzyska. Daleka droga do nich, choć faktycznie kolejna reprezentacyjna przerwa była dla naszej młodzieżówki dobra.

Jak to się stało, że Jerzy Brzęczek stworzył takiego „potwora”: osiem meczów, osiem zwycięstw?

- Od naszego pierwszego zgrupowania przypominał nam, że w jedności siła. Że mamy duże umiejętności i powinniśmy je przekładać na boisko. Że nie mamy się bać grać w piłkę, wchodzić w sytuacje „jeden na jeden”, podejmować ryzyko.

A był kiedyś trener, który tego wszystkiego zabraniał? Bo mnie się wydaje, że to dość naturalny przekaz...

- No tak, jasne. Ale jest jeszcze czynnik przeciwnika. Tymczasem my, dzięki słowom powtarzanym przez trenera na każdym zgrupowaniu, nawet w grach z mocnym rywalem pielęgnujemy ten przekazi nie zapominamy o nim.

Mam wrażenie, że nieważne co się stanie: „Pietuch” pójdzie do pierwszej reprezentacji, wypadnie z powodu kontuzji Pieńko czy Faberski, wchodzi w to miejsce nowy człowiek i dalej gracie swoje. Jest tak?

- Zdecydowanie tak. Powołanie każdego z nas do drużyny narodowej cieszy całą resztę, bo to przecież cel każdego z nas. Ci zaś, którzy przychodzą, nie odstają od reszty umiejętnościami i zaangażowaniem. Chcą zaznaczyć siebie w tej drużynie i im to wychodzi.

Niezła z was paka na murawie. Poza nią też?

- Często siadamy gdzieś przy kawie, gramy w jakieś gry, czy po prostu wspólnie spędzamy czas, żeby się pośmiać.

Króluje FIFA?

- Niekoniecznie. Gramy w karty – w Uno na przykład, ale i w gry planszowe. Zwolennicy konsoli też są (śmiech).

Pan już wie, co pan będzie robić po 1 lipca?

- Przede wszystkim chciałbym regularnie grać w piłkę, tak jak teraz. Ale nie wiem, w którym to będzie klubie.

No tak, bo kończy się panu wypożyczenie z Górnika. Sam fakt, że Zabrzanie nie dali panu szansy zagrania w swych barwach trochę zabolał?

- Miałem wcześniej podobną sytuację z Legią, gdzie mi podziękowali po paru latach treningów. Więc... może po prostu wiedziałem, jak się zachować, jak do tego wszystkiego podejść. Ale to też nie był łatwy moment. Po dobrym sezonie w pierwszej lidze, w Zniczu, myślałem, że to się ułoży trochę inaczej. Życie przyniosło inny scenariusz; trzeba było się po prostu z tego podnieść i dalej robić swoją robotę.


Fot. Krzysztof Porębski / Press Focus

Wiktor Nowak „z drzwiami” wszedł do ekstraklasy i młodzieżówki. Ale... wciąż nie wie, gdzie zagra w przyszłym sezonie.

To wróćmy na koniec do Płocka. Boli, że po zdobyciu tytułu mistrza jesieni teraz jesteście już tylko jednym ze średniaków?

- Wiadomo, ż fajnie było zakończyć pierwszą rundę w fotelu lidera, ale... w tej lidze wszystko jest możliwe. Przegrasz jeden mecz, przegrasz drugi i zupełnie zmienia się pozycja w tabeli. Tak naprawdę my wciąż... walczymy o utrzymanie! A czy będzie nam dane ugrać coś więcej? Zobaczymy.

Naprawdę w Płocku wciąż „na tapecie” jest słowo „utrzymanie”?

- Przecież mieliśmy wiosną nieciekawą serię pięciu porażek. Więc trzeba sobie powiedzieć jasno, że w tym dziwnym sezonie pilnować się trzeba do samego końca!

Rozmawiał Dariusz Leśnikowski

Sport e5e5d9e754

Walka z zaciśniętymi zębami!

Niektórzy postawili już krzyżyk przy zajmującej ostatnie miejsce w tabeli drużynie z Niecieczy. Za wcześnie!

BRUK-BET TERMALICA NIECIECZA

Zwycięstwo z Piastem to pierwsza ligowa wygrana Niecieczan w tym roku. Nic dziwnego, że drużyna z gminy Żabno czerwoną latarnią jest od dłuższego czasu. Po ostatnich trzech porażkach z rzędu - 1:2 z Koroną w Kielcach, 1:2 z Motorem u siebie i 1:4 z Lechem w Poznaniu - przyszedł jednak czas na przełamanie. Utrzymanie ciągle jest realne, choć to już ostatni moment, żeby zacząć gonić. Do przedostatniego zespołu w tabeli outsider ma pięć punktów straty, a przecież przeskoczenie jednej przeszkody nie wystarczy...



Fot. Marta Badowska / PressFocus

Kamil Zapolnik nigdy się nie oszczędza. Nawet jeśli - żeby zagłówkować - istnieje ryzyko zderzenia się z rywalem.

Chcą dobrej serii

Słonie nie zamierzają oczywiście się poddawać. - Mecz z Piastem skończył się dla nas szczęśliwie. Odetchnęliśmy... - przyznaje „Sportowi" Marek Kasprzyk, asystent trenera Marcina Brosza. - Wreszcie wszystko było jak należy, bo prawda taka, że w kilku poprzednich meczach punkty nam uciekły, choć nie musiało się tak skończyć. Jedynie z Lechem była wysoka porażka, ale kto wie, gdyby na samym początku, przy stanie 0:0, Jesus Jimenez wykorzystał idealną okazję... Potem straciliśmy w pierwszej połowie trzy bramki w pięć minut i było po sprawie. Ale to był jedyny taki mecz w ostatnim czasie, że trudno było mówić o szansie na punkty. Muszę przyznać, że liczymy po cichu na to, co złapał Piast: na serię meczów zakończonych korzystnymi wynikami, które w efekcie w zaledwie kilka tygodni całkowicie zmieniają miejsce w tabeli, komfort grania. Uważamy, że nasza gra pozwala na takie założenie - podkreśla Kasprzyk.

Zgadza się to z tym, co niedawno mówił trener Marcin Brosz. - Czego nam brakuje? Przede wszystkim zwycięstw. Od słów punktów nam nie przybędzie - mówił w lutym po jednym z remisowych spotkań Brosz. – Mamy strategię, pomysł na grę, zarówno z tyłu, jak i z przodu. Na każdy mecz. To nie jest tak, że widać dużą różnicę, jesteśmy w stanie ten dystans zniwelować.

Spece od kornerów

Ozdobą ostatniego meczu okazał się gol Damiana Hilbrychta zdobyty uderzeniem bezpośrednio z rzutu rożnego. - Można powiedzieć, że w poprzednich meczach brakowało nam trochę tego, co dziś pokazaliśmy w pierwszej połowie. Druga połowa wyglądała u nas zwykle lepiej, dziś było na odwrót - przyznał klubowym mediom. Z gola był oczywiście szczęśliwy. - Moim atutem na pewno są stałe fragmenty gry. Zauważyłem, że przy rzucie rożnym bramkarz wychodzi trochę do przodu i to wykorzystałem - cieszył się. - Wiedzieliśmy, że może być wietrznie i trzeba będzie uważać jak w trakcie meczu wieje wiatr. To moja pierwsza bramka z rogu w ostatnim czasie.

- Na sparingach w Turcji podobną zdobył Sergio Guerrero (w meczu z FK IMT Belgrad - przyp. aut.) - przypomina Marek Kasprzyk.

Kibice wierzą

- Hurraoptymizmu nie ma, choć nadzieje po tym zwycięstwie odżyły. Zdajemy sobie sprawę, że będzie bardzo ciężko. Jest trochę do odrobienia, a sytuacja w tabeli sprawia, że nie ma w tej lidze drużyn, które w tej chwili grałyby o nic. Teraz starcie z Widzewem, potem Wisłą, po tych spotkaniach będziemy dużo mądrzejsi. Oni też grają o utrzymanie. Ważne, że u nas na trybunach są kibice, którzy chodzą na mecze bez względu na wynik – mówi „Sportowi" Marek Sadko, wierny kibic Niecieczy, związany jednocześnie z sąsiednim Dunajcem Konary, gdzie sam grał w niższych klasach, także przeciw... Niecieczy. We własnych zbiorach ma m.in. piłkę, którą w przeszłości zawodnicy Termaliki grali ligowy mecz z Legią. Może uda się powiększyć wkrótce kolekcję o podobny gadżet? Mecz z Legią u siebie za miesiąc.

Paweł Czado

Daleko od spokoju

Niemal 12 procent - tyle wynoszą matematyczno-statystyczne szanse Gliwiczan na... spadek. Jeszcze tydzień temu byli na dobrej drodze do ligowego spokoju, ale porażka w Niecieczy i zbliżające się mecze komplikują sytuację.

PIAST GLIWICE

Fani klubu z Okrzei przez lata przeżyli wiele, bo gdy w jednym sezonie walczy się o utrzymanie do ostatniej kolejki, by dokładnie rok później święcić historyczne mistrzostwo Polski, to jest to doświadczenie na lata...

A było już tak pięknie

Aktualny sezon ekstraklasy dla kibiców Piasta też łatwy nie jest, bo po kompletnym falstarcie i kiepskiej części jesieni, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na spadek ekipy z Gliwic. Wraz z przyjściem trenera Daniela Myśliwca wróciła jednak też wiara i nadzieja na utrzymanie. Poparta była ona świetnymi wynikami pod koniec jesieni 2025 oraz lepszą grą tej wiosny. Problem w tym, że Piastowi brakuje serii zwycięstw lub też postawienia „kropki nad i" , którą byłaby wygrana nad też walczącym o utrzymanie rywalem. To mogło stać się w poniedziałek w Niecieczy, ale zamiast tego Piast podłączył „Słoniki" pod tlen.

- Mam nadzieję, że to był już ostatni taki nasz mecz. Rzeczą, która utrzymuje moją wiarę, jest to, że drużyna, pomimo bardzo niekorzystnego finalnego przebiegu pierwszej połowy, w drugiej pokazała, że nie zamierza przejść obok meczu i odpuścić – kręcił głowa po porażce 2:3 trener Myśliwiec.

Teraz najważniejsze mecze

Po porażce w Niecieczy Piotr Klimek, który na portalu X publikuje matematyczne szanse drużyn na mistrzostwo i spadek, musiał zaktualizować procenty dla Piasta. Przed przerwą reprezentacyjną niebezpieczeństwo spadku określane były na poziomie 4 procent. Miniona kolejka zrewidowała te cyfry i obecnie sytuują się one na poziomie 11.7 proc. Jazda kolejką górską dla fanów drużyny z Okrzei wciąż trwa, a najbliższe tygodnie mogą okazać się kolejkami prawdy.

Piasta bowiem czekają trzy niezwykle ważne mecze z drużynami, które też mogą obawiać się spadku. W poniedziałek przeciwnikiem na Okrzei będzie Pogoń, a w kolejnych meczach śląska drużyna zagra z Lechią i Arką. – Mecz z Pogonią to dla nas finał. Tabela jest bardzo płaska, a różnice punktowe są niewielkie, więc musimy traktować to spotkanie właśnie w taki sposób – mówi Hiszpan Adrian Dalmau.

Nudy nie będzie

W podobnym tonie wypowiada się jego kolega z pomocy. – Znowu mamy mecz o sześć punktów, tak jest w tej lidze. Trzeba do ostatniej kolejki walczyć, bo tutaj jeden mecz się przegra i można znaleźć się w bardzo nieciekawym miejscu tabeli – zaznacza Grzegorz Tomasiewicz. Jedno jest pewne: nudy z Piastem nie będzie.

(KRIS)

SPADNĄ?

Matematyczne (procentowe) „szanse " Piasta na spadek z ekstraklasy w kolejnych tygodniach

11,7% 8 kwietnia
4% 22 marca
9,3% 16 marca
23% 9 marca
9,8% 2 marca
20,8% 23 lutego
8,5% 16 lutego
5,4% 9 lutego
1**9,5%** 2 lutego

KRÓTKA PIŁKA

IVI SIĘ PAKUJE?

RAKÓW CZĘSTOCHOWA

■ Hiszpańskie media sugerują, że latem Ivi Lopez wróci do ojczyzny! Napastnik, który do Rakowa dołączył latem 2020 i miał udział we wszystkich sukcesach klubu spod Jasnej Góry (dwukrotny triumf w Pucharze i Superpucharze Polski oraz mistrzostwo kraju), zdobywając także koronę króla strzelców ekstraklasy i miano „Piłkarza sezonu", przymierzany jest do drugoligowego Realu Saragossa. Portal elgoldigital.com sugeruje, że miałby podpisać z tym klubem roczny kontrakt z opcją przedłużenia o rok. Lopez do tej pory – wg wyliczeń portalu transfermarkt – zagrał dla Częstochowian 165 meczów, w których strzelił 62 gole i zanotował 39 asyst.

ROZMAWIAJĄ Z NIELSEM

LECH POZNAŃ

■ Kontrakt duńskiego szkoleniowca Kolejorza wygasa z końcem obecnego sezonu. Głos na temat przyszłości Nielsa Frederiksena zabrał w mediach społecznościowych klubowy menedżer ds. komunikacji i relacji z otoczeniem. „Klub prowadzi rozmowy z trenerem w sprawie nowej umowy. Oczywiście do porozumienia będzie potrzebna aprobata obu stron" - napisał Maciej Henszel. Dodał zarazem, że do tej pory „nie zapadła decyzja odnośnie przyszłości trenera, ale nie wyklucza on żadnego rozwiązania".

ZRÓB TO SAM!

WIDZEW ŁÓDŹ

■ Sobotni mecz Łodzian z Bruk-Betem Termalicą Nieciecza będzie pierwszym testem nowej murawy na stadionie przy Al. Piłsudskiego. Dotychczasowa budziła wiele (niezdrowych) emocji. W tej sytuacji działacze Widzewa zdecydowali się na pokrycie kosztów wymiany nawierzchni, choć klub nie jest właścicielem obiektu. Co więcej; Widzew będzie też we własnym zakresie pielęgnować murawę. - Klub zatrudni swoich greenkeeperów, którzy będą dbać o tę murawę – zdradził rzecznik prasowy Widzewa, Jakub Dyktyński. Cały czas trwa też budowa boiska treningowego przy stadionie, które dostępne ma być do użytku w czerwcu.

ANTONI(N) Z CZASEM SIĘ GONI

KORONA KIELCE

■ W poniedziałkowym meczu w Gdańsku zabrakło w składzie Kielczan podstawowego przez większą część sezonu napastnika, Antonina. - Ma lekki stan zapalny Achillesa – wyjaśnił jego absencję trener Jacek Zieliński. W tej chwili w Koronie trwają intensywne zabiegi, by hiszpańskiego snajpera „doprowadzić do stanu używalności" na piątkowe spotkanie z Jagiellonią.

Sport e5e5d9e754

Cztery powiewy optymizmu

Chorzowianie przekroczyli Rubikon, rozpoczynając serię meczów z ligowym topem. Humory mogą im jednak dopisywać.

RUCH CHORZÓW

Z punktu widzenia kibica lub dziennikarza – kwiecień jest kluczowy dla ocenienia, jakim zespołem jest obecnie Ruch. Niebiescy w Głogowie zaczęli serię meczów z ligową czołówką i jak na razie dopisali do konta punkt – czy też raczej stracili dwa, bo zasłużyli na więcej.

– Każdy mecz jest meczem prawdy – nie wyróżniał żadnego spotkania trener Waldemar Fornalik. – Ten z Chrobrym mimo wszystko też nim był. Graliśmy z trzecią drużyną, teraz zmierzymy się z Wieczystą, potem Wisłą, Pogonią Grodzisk Mazowiecki... Nasz kalendarz jest niesamowity, bo mamy przed sobą całą „górę". Powinniśmy spojrzeć na to z optymizmem i wiarą w to, co robimy, bo ta drużyna – nie chcę powiedzieć, że dobrze gra – ale widać, że się rozwija. Chciałbym, aby to był proces, który będzie trwał – zapowiedział spokojnie szkoleniowiec, o którym jeszcze można pisać jako o 62-letnim. Natomiast w sobotę, gdy Ruch podejmie Wieczystą, będzie świętował swój 63. „gyburstag"!



Fot. Oleh Sobolev/Press Focus

Czy Patryk Szwedzik (z prawej) strzeli gola w urodziny trenera?

Spotkanie z bogatymi Krakowianami nie będzie łatwe. Wieczysta jako jedyna w tym sezonie potrafiła strzelić Niebieskim 4 gole; po dobrym meczu w Sosnowcu wygrała 4:2. Chorzowianie mają jednak powody do optymizmu przed tym spotkaniem, jak zresztą wspomniał sam Fornalik. Jakie to powody?

Po pierwsze, Ruch nie przegrywa. Ostatnio uległ Polonii Warszawa 21 lutego. Potem zanotował trzy kolejne wygrane, po których nadeszły dwa remisy na trudnych terenach – w Łodzi i Głogowie. Mówiąc krótko – zespół jest w formie. W tabeli za pięć ostatnich meczów Niebiescy są na czwartym miejscu – lepiej punktują tylko Stal Mielec, Puszcza Niepołomice i najlepszy Śląsk Wrocław. Wieczysta? Jest trzecia od końca, choć „wisi" jej zaległe spotkanie z Polonią Bytom.

Po drugie, poprawiła się sytuacja kadrowa Ruchu, przede wszystkim za sprawą powrotu do kadry Nikodema Leśniaka-Paducha. W Głogowie siedział na ławce, trener Fornalik nie lubi zbędnych rotacji, a para Komor – Lukić na środku obrony do tej pory spisywała się dobrze. Chorwat jednak nie popisał się przy golu Chrobrego, więc kto wie, czy młodzieżowiec nie wskoczy na boisko? A jeśli wskoczy, to „King" zyska niespotykany dotąd komfort z młodzieżowcami. Jesienią pozycję jednego stopera zamurował Leśniak-Paduch, wiosną – ściągnięty po jego kontuzji Jakub Jendryka. Obaj jednak... dawali jakość może i większą niż klubowi seniorzy! No ale odpowiednio jakościowej alternatywy – na wszelki wypadek – w zespole nie było. Teraz sytuacja się zmieniła.

Po trzecie, Patryk Szwedzik znowu zaczął strzelać. W sześciu pierwszych spotkaniach 2026 roku najlepszy strzelec drużyny nie trafił ani razu. Ostatnio zaś wpadło i z ŁKS-em, i z Chrobrym. Ktoś powie, że w Głogowie bramkę podarowali mu rywale – no ale odpowiedni skok pressingowy też trzeba umieć wykonać!

Po czwarte, balans. Ruch jest ekipą, która może nie robi nic perfekcyjnie, ale (prawie?) wszystko robi co najmniej nieźle. Atak pozycyjny, kontry, fazy przejściowe, stałe fragmenty, głęboka defensywa, średni i wysoki pressing... Wszystko to w Chorzowie w tym roku widzieliśmy. Z jednej strony Ruch jest przewidywalny, ale z drugiej... w tej przewidywalności bywa nieprzewidywalny!

Piotr Tubacki

„Zondają" zapłaty

Spór Krakowian i giełdy kryptowalut zapewne skończy się w sądzie.

WIECZYSTA KRAKÓW

Beniaminek akurat jest jednym z niewiele klubów, który bez przelewu od sponsora koszulkowego nie straci płynności. Co nie znaczy, że machnie ręką i zrezygnuje z należnych mu pieniędzy.

Koszulkowy, ale nie największy

Głośne nagłówki w wielu mediach o tym, że Wieczysta straciła sponsora, na pierwszy rzut oka mogły oznaczać poważne kłopoty krakowskiego klubu. To mu jednak nie grozi. Żółto-czarni wspięli się tak wysoko w ligowej hierarchii dzięki Wojciechowi Kwietniowi, który wpompował w osiedlowy klub trudne do oszacowania środki. On jest głównym sponsorem - a nie właścicielem, jak często się go określa, choć jego władza rzeczywiście jest absolutna.

Krakowianie weszli do pierwszej ligi na barkach bardzo tajemniczego biznesmena, który dorobił się nie tylko na farmaceutycznym biznesie. Duża medialność, gwarantująca dobrą ekspozycję dla marek sprawiła, że do Wieczystej zapukała giełda kryptowalut Zondacrypto i została jej sponsorem koszulkowym. Logotyp trafił na front koszulki - najlepsze miejsce do promowania się na stroju piłkarzy. Klub sterowany przez Kwietnia nie był jedyny - biznes Przemysława Krala współpracuje też m.in. z GKS-em Katowice i Rakowem.

Działają po cichu

Ostatnie publikacje ogólnopolskich mediów, m.in. Wirtualnej Polski i Money.pl, sugerują, że Zondacrypto ma kłopoty z płynnością. Użytkownicy mieli zgłaszać problemy z wypłatą środków, a część klubów sportowych ma nie otrzymywać pieniędzy za świadczenia marketingowe. Wieczysta potwierdziła, że druga transza płatności nie trafiła na jej konto. Jednocześnie na stadionie w Sosnowcu, gdzie rozgrywa mecze jako gospodarz, na bandach nadal wyświetla się reklama „Wieczysta zondzi", nawiązująca do „rządzenia" w ramach sportowej rywalizacji, piłkarze nadal grają z logo giełdy, a klub nie usunął identyfikacji wizualnej marki z pozostałych materiałów.

Prezes Zondacrypto, komentując medialne doniesienia, stwierdził, że skutecznie wypowiedział umowę Wieczystej w trybie natychmiastowym. „Powodem było ewidentne niewywiązanie się przez klub z zakontraktowanych świadczeń reklamowych. Jako Prezes mam obowiązek chronić kapitał spółki - nie płacimy za usługi, które nie zostały zrealizowane. Wzorowa i terminowa współpraca z wieloma innymi partnerami (co zresztą potwierdził w artykule PKOl) dowodzi naszej rzetelności" – napisał Kral na platformie X.

- Na obecnym etapie nie wypowiadamy się na ten temat - ucina Łukasz Preiss, rzecznik prasowy Krakowian. To nie znaczy, że nic nie robią. Są przekonani, że realizowali świadczenia, do których się zobowiązali. Dla nich umowa obowiązuje do 30 czerwca i wszystko wygląda tak, jakby problemów nie było. Sprawą już zajmują się prawnicy i może mieć ona finał w sądzie. Niedługo Wieczysta może przestać „zondzić" i zacznie „zondać" zapłaty.

Michał Knura

„Rycerze Wiosny" ostrzą miecze

Klasa zawodnika nie zawsze zależy od kwoty, jaką za niego zapłacono przy transferze!

ŁKS ŁÓDŹ

Piłkarze ŁKS w swojej ligowej historii grali w Krakowie na boiskach Cracovii, Wisły, OWKS (późniejszego Wawelu), Hutnika, Garbarni i przedwojennego Podgórza, ale na mecz z kolejnym zespołem spod Wawelu przyjechali do Sosnowca. Siedzibę klubu przy ul. Kazimierza Chałupnika w Krakowie odwiedziły tylko z okazji meczu II-ligowego niespełna dwa lata temu rezerwy ŁKS.

W drodze z Łodzi do Sosnowca można było wpaść w Częstochowie na mecz Rakowa z Widzewem. Porównanie z ekstraklasą wypada dla tejże niekorzystnie – tam piłkarze snuli się po boisku, tu energicznie biegali. To w meczu pierwszej ligi zobaczyć można było nieszablonowe akcje, nie widziało się tak mocnego związania taktyką, było pole do indywidualnych improwizacji. To łatwe porównanie, ale aż się prosi, by napisać, że klasa zawodnika nie zawsze zależy od kwoty, jaką za niego zapłacono przy transferze.

Taki na przykład Andreu Arasa, skromny hiszpański drugo- i trzecioligowiec z Albacete i rezerw Mallorki, dał pokaz techniki, szybkości z piłką i... odwagi przy podejmowaniu decyzji o strzale z każdej możliwej pozycji - na przykład głową z 14 metrów w asyście wyższego od niego obrońcy. Sam akurat nie miał szczęścia trafić do siatki Wieczystej (poprzeczka w 83 minucie!), ale na miano piłkarza meczu zasłużył choćby rajdem przez pół boiska z trzema rywalami na plecach, po którym swojego gola strzelił Jasper Loeffelsend.

W drużynie z Krakowa nie brakuje piłkarzy z doświadczeniem, ale tym razem Carlitos, Olsson, Piazon, Maigaard i Semedo nie byli w stanie dotrzymać kroku (mentalnie i fizycznie w pojedynkach biegowych) wspomnianemu Arasie (po trzykroć niech będzie pochwalony), Hinokio, Terleckiemu, Norlinowi, a w końcówce Piaseckiemu, który swoją pierwszą bramką od listopada, a ósmą w sezonie, przypieczętował zwycięstwo.

To już czwarty wygrany mecz ŁKS w tym roku na wyjeździe. Właśnie minęła (7 kwietnia) 69. rocznica ochrzczenia łódzkiej drużyny mianem „Rycerzy Wiosny" dokonanego przez redaktora Jerzego Zmarzlika po zwycięstwie ŁKS 5:1 z Górnikiem w Zabrzu, które rozpoczęło wówczas marsz po Puchar Polski i mistrzowski tytuł w następnym sezonie. Kolejne pokolenie „Rycerzy" ostrzy teraz miecze na baraże!

Wojciech Filipiak



Fot. Artur Kraszewski / Press Focus

Czasem i trzech rywali nie jest w stanie dogonić Andreu Arasy...

Redaktor Stański przekazuje

Mistrzostwa Świata w Hiszpanii w 1982 roku to niezapomniane przeżycie dla tych, którzy mieli możliwość oglądania w akcji nasze Orły. Grzegorz Stański był na miejscu świadkiem polskiego sukcesu.



Po wygranej z Peru 5:1 przyszedł pogrom Belgii. To były piękne czasy polskiego futbolu!

Korespondentem Sportu na MŚ w 1982, które skończyły się dla Biało-czerwonych srebrnym medalem, był Grzegorz Stański.

Z Peru w trzecim meczu grupy 1 graliśmy o wszystko.

Jak się tak zastanowić, to jest to niesamowita sprawa, że w historii prawie stulecia międzynarodowych futbolowych rozgrywek taki piłkarski kraj jak Hiszpania, w zasadzie tylko raz organizował u siebie wielki międzynarodowy turniej; bo mistrzostwa Europy w 1964 to były ledwie cztery mecze...

Nie było z kim grać...

O tym, że kraj z Półwyspu Iberyjskiego będzie organizatorem dwunastego czempionatu globu, zdecydowano w połowie lat 60. Doszło wtedy do porozumienia Hiszpanii z zachodnimi Niemcami. Ci pierwsi „odstąpili" RFN turniej w 1974, nie zgłaszając swojej kandydatury, natomiast Niemcy wsparły Hiszpanię przy organizacji turnieju osiem lat później, kiedy ponownie, po argentyńskim mundialu, przyszła kolej na Stary Kontynent. Reszta świata, jeżeli chodzi o organizację MŚ, jeszcze się nie liczyła. Wszystko zmienił dopiero XXI wiek.

To był szczególny czas dla Hiszpanii, a – jak się okazało - także dla Polski. Kraj z Półwyspu Iberyjskiego, przez lata rządzony twardą ręką przez generała Francisco Franco, zmieniał się po śmierci caudillo. U nas inny generał, Wojciech Jaruzelski, pod rękę z sowieckim oprawcą walczył z polskim narodem, wprowadzając 13 grudnia 1981 stan wojenny i internując tysiące działaczy „Solidarności". Polska stała się pariasem, także jeżeli chodzi o futbol. Sankcje sprawiły, że przed XII MŚ nikt z Biało-czerwonymi nie chciał grać. Trzeba było się ratować meczami z klubami. Nie przeszkodziło to jednak Antoniemu Piechniczkowi w świetnym przygotowaniu zespołu do gry w Galicji, bo tam - w La Coruñi i Vigo - przyszło nam na wstępie rywalizować w grupie 1 z Włochami, Peru i Kamerunem, choć początek był trudny...

Dziennikarski tuz

W trudnych warunkach przygotowywali się do wszystkiego piłkarze. W zmienionych politycznych warunkach – równie skomplikowanych – przygotowywał się „Sport". Po dwóch wyjazdach pod rząd na mistrzostwa Janusza Jelenia, przyszedł czas na kogoś innego. Redaktor Jeleń, wybrany głosami załogi na naczelnego „Sportu" w 1981 roku, nie przeszedł późniejszej dziennikarskiej weryfikacji... W teczce przyniesiony został nowy naczelny, Tadeusz Janik (swoją funkcję sprawował w latach 1982-85).

Na mistrzostwa został oddelegowany Grzegorz Stański i był to – trzeba podkreślić – dobry wybór. Rocznik 1947, pracował w warszawskim oddziale naszego dziennika, razem zresztą z Michałem Listkiewiczem, potem znakomitym sędzią, prezesem PZPN, który po latach ponownie wrócił na nasze łamy.

Stański znał włoski i hiszpański. – Pisał naprawdę dobrze. Był inteligentny, dowcipny. Napisał razem z Andrzejem Gowarzewskim kilka książek. Uważam, że to najlepszy dziennikarski duet w historii polskiego dziennikarstwa. Dodatkowo potrafił też wbić szpilkę, ale nie chamską, ale w cywilizowany sposób. Kazał do siebie mówić nie Grzesiek, a „Grzesik" – wspomina z uśmiechem Henryk Górecki, który w „Sporcie" przepracował 40 lat i wie o gazecie wszystko.

Stański razem z Gowarzewskim napisali słynną książkę „Wielcy piłkarze, sławne kluby". Do tego razem wydali „Mundial'78", „Olimpijskie kuranty", a sam napisał „Mundialowy dziennik Antoniego Piechniczka" oraz „Mexico 86. Vademecum".

KORESPONDENCI „SPORTU" NA MŚ

1950, Brazylia: -
1954, Szwajcaria: Tadeusz Bagier
1958, Szwecja: Tadeusz Maliszewski vel Narcyz Suessermann
1962, Chile: -
1966, Anglia: dr Jerzy Roha
1970, Meksyk: -
1974, RFN: Janusz Jeleń, Zbigniew Łagódka, Jerzy Roha, Józef Bula, Andrzej Konieczny
1978, Argentyna: Janusz Jeleń
1982, Hiszpania: Grzegorz Stański

Z dzienniczka selekcjonera

Sięgnijmy do „Sportu" z 17 czerwca 1982 roku, kiedy byliśmy już po premierze i po bezbramkowym remisie z Italią. Oto prowadzony i spisywany przez redaktora Stańskiego w Hiszpanii „Dziennik Antoniego Piechniczka".

„Czwartek, 17 czerwca. Wspominając o niespodziankach, jakie wydarzyły się w pierwszych czterech dniach mistrzostw, nie mogłem jednak przewidzieć, że w środę nastąpi istne trzęsienie ziemi. Bo któż mógł się spodziewać porażki RFN z Algierią, czy remisu Hiszpanii z Hondurasem. Zwłaszcza przegrana mistrzów Europy jest sensacją nie mieszcząca się w sferze racjonalnych przesłanek" – pisał nasz selekcjoner (we wszystkich cytatach - pisownia oryginalna) o meczu, który zakończył się w grupie 2 sensacyjną wygraną reprezentanta Afryki 2:1 po bramkach Rabaha Madjera i Lakhdara Belloumiego. Co do gospodarzy, to nie potrafili w spotkaniu w grupie 5 pokonać niesamowitego w bramce Julio Cesara Arzu. W zremisowanym 1:1 spotkaniu udało się to dopiero Lopezowi Ufarte, i to z karnego.

Co do niespodzianek, to taką był też kolejny remis faworyta, Polski, w meczu z Kamerunem rozegranym w sobotę 19 czerwca na Estadio de Riazor w La Coruñi. Tam my mieliśmy problemy z pokonaniem innego świetnego czarnoskórego golkipera hiszpańskiego mundialu, Thomasa N'Kono. W trzecim grupowym spotkaniu z Peru graliśmy o wszystko, trzeba było wygrać, żeby awansować do finałowej dwunastki (na MŚ w Hiszpanii po raz pierwszy zagrały 24 reprezentacje).

Na kłopoty... Smolarek!

Specjalny wysłannik „Sportu" na Mistrzostwa Świata red. Grzegorz Stański przekazuje – pisała nasza gazeta we wtorek 22 czerwca. „Peru przeszkodą wysoką jak Andy. Być albo nie być biało-czerwonych" – czytaliśmy na pierwszej stronie. Zespół z Ameryki Południowej miał po dwóch kolejkach i dwóch remisach stosunek bramek 1:1, my 0:0. Trzeba było wygrać.

Przed meczem w La Coruñi działacze robili zakupy, biorąc co się da. U nas były przecież pustki w sklepach, a zanosiło się na szybki powrót do domu... Przed meczem mieliśmy korekty w składzie. Do ataku przesunięty został Zbigniew Boniek. Na środku pomocy był Janusz Kupcewicz, a miejsce kontuzjowanego Jana Jałochy zajął Marek Dziuba. Do przerwy było bez bramek. Ale jak ktoś w polskim zespole miał pierwszy trafić, to nie mógł być to nikt inny, jak Włodzimierz Smolarek z Widzewa. W narodowych barwach zdobył „ledwie" 13 bramek, ale te gole ważyły zwykle razy 2 lub razy 3, bo były to kluczowe trafienia, jak z Peru, jak wcześniej z NRD w Lipsku w eliminacjach do hiszpańskich MŚ czy później z Portugalią podczas mundialu 1986. Smolarek trafił na 1:0, a potem już poszło bum-bum-bum-bum! Po 76 minutach było już 5:0! Gol Guillermo La Rosy w końcówce nic już nie zmienił. Bramkę strzelił też Boniek, który po pokonaniu Ramona Quirogi podbiegł do „media tribune" i wygrażał polskim dziennikarzom, którzy go wcześniej mocno krytykowali. Też trzeba dodać, że przed mundialem „Zibi" zmienił klub, przechodzą z Widzewa do silnego wtedy Juventusu.

Srebro zamiast brązu

Potem? Potem był koncert na barcelońskim Nou Camp z wicemistrzem Europy Belgią 3:0 po hat tricku właśnie Bońka. W kolejnym grupowym meczu remis z ZSRR i po ośmiu latach reprezentacja Polski ponownie znalazła się w półfinale MŚ! Tam, bez pauzującego za kartki Bońka, ulegliśmy późniejszym mistrzom Włochom 0:2, ale na koniec ponownie byliśmy srebrnym medalistą czempionatu globu, wygrywając bój o trzecie miejsce z Francją 3:2. Zapyta ktoś dlaczego srebrni, a nie brązowi? Spieszymy z wyjaśnieniem. Podczas MŚ 1974-82 FIFA zdecydowała o przyznawani czterech kategorii medali: złotego, pozłacanego, srebrnego za 3. lokatę i brązowego za 4. miejsce. Stąd też ponowne srebro na szyjach naszych wspaniałych graczy.

Krok do tyłu?

Jak turniej podsumował redaktor Stański? Napisał, że... był dla futbolu krokiem w tył! Oto jego uzasadnienie. „Sukces Włochów zaprzeczył lansowanym od mistrzostw świata w 1974 roku i tych z 1978 roku teoriom, że przyszłość futbolu należy do zespołów grających na wskroś ofensywnie. Włochom daleko do umiejętności atakowania bramki rywali, jakie prezentowali przykładowo Brazylijczycy. Piłkarze z Ameryki Południowej preferowali zasadę: atakujemy, przywiązując znacznie mniejszą wagę do gry obronnej, Włosi odwrotnie: najpierw precyzyjna, dokładna obrona, a dopiero później kontratak. Od razu dodajmy: błyskawiczny, płynny, dokładny. Włosi niemal do perfekcji opanowali grę w defensywie. Brazylijczycy będą musieli jeszcze długo uczyć się tej sztuki. „Atak – owszem, ale z myślą o obronie" – twierdził przed wieloma laty trener Ryszard Koncewicz i teza ta nie straciła nic ze swojej aktualności, mało tego została nobilitowana na tych mistrzostwa. Nie tylko przez Wochów, ale również przez polską drużynę" – pisał Grzegorz Stański w „Sporcie" 15 lipca 1982 roku, cztery dni po finale MŚ, w którym „Squadra Azzurra" pokonała RFN 3:1, zdobywając swoje trzecie mistrzostwo globu. Teraz ani Włochów, ani Polaków na MŚ nie zobaczymy...

Michał Zichlarz

Sport e5e5d9e754

Stołeczne zwycięstwa

Atletico i PSG zyskały dwubramkową przewagę w pierwszych odsłonach ćwierćfinałowych dwumeczów.



Fot. PAP/EPA

Robert Lewandowski był na boisku tylko przez 45 minut.

LIGA MISTRZÓW

Tylko 45 minut spędził na boisku Robert Lewandowski podczas rywalizacji z Atletico Madryt. Trener Hansi Flick zmienił Polaka od razu po zmianie stron, a jego miejsce zajął Fermin Lopez. Decyzja szkoleniowca nie wynikała ze złej postawy napastnika, a była podyktowana względami taktycznymi. W 44 minucie czerwoną kartkę zobaczył Pau Cubarsi. Hiszpański defensor faulował przed polem karnym Giuliano Simeone, gdy ten wychodził na czystą pozycję. Początkowo sędzia Istvan Kovacs pokazał mu żółtą kartkę, ale po analizie VAR zmienił decyzję. Barcelona nie tylko musiała grać w dziesięciu do końca meczu, ale także borykać się ze stratą jednej bramki – Julian Alvarez pięknie uderzył z rzutu wolnego po faulu na Simeone, nie dając Joanowi Garcii żadnych szans. Hansi Flick musiał więc zainterweniować; sposobem na próbę przetrwania (a raczej odrobienia strat) było zmienienie Lewandowskiego oraz Pedriego już w 46 minucie.

Jak w Pucharze Króla

Diego Simeone też dokonał zmian. Argentyńczyk wyczuł, że Blaugrana jest ranna i chciał to wykorzystać. Na plac gry wpuścił więc napastnika Alexandra Sorlotha. Norweg nie potrzebował wiele czasu – po 10 minutach podwyższył prowadzenie Los Colchoneros, wykorzystując podanie Matteo Ruggeriego. W ten sposób Atletico ma dwubramkową przewagę przed rewanżem. Sytuacja podobna do tej z przełomu lutego i marca, gdy Los Colchoneros wygrali z Barceloną pierwszy mecz w półfinale Pucharu Króla. Wtedy zyskali czterobramkową przewagę, a w rewanżu przegrali 0:3. Czy za tydzień uda im się zachować handicap dwóch goli?

Szybki gol

Triumfator zeszłorocznej Ligi Mistrzów szybko pokazał Liverpoolowi, że nie ma zamiaru czekać na jego ruch – chce awansować dalej, chce obronić tytuł. PSG już w 11 minucie wyszło na prowadzenie po uderzeniu Desire Doue. 20-latek podjął decyzję o strzale z okolic 16. metra, choć był otoczony przez czterech rywali. Ryzyko opłaciło się, bo po rykoszecie futbolówka przelobowała bramkarza Giorgiego Mamardaszwiliego i wpadła do siatki.

Na drodze do trofeum

Jak się okazało, efektowne trafienie Francuza nie było główną ozdobą spotkania. PSG po zmianie stron było równie groźne w ofensywie, jak w pierwszej połowie. Liverpool nie miał pomysłu na to, jak zatrzymać Paryżan. Z kolei ekipa Luisa Enrique potrafiła wyjść z szybkim kontratakiem, ale także spokojnie budować akcje w ataku pozycyjnym. W 65 minucie, po wielu podaniach na połowie Liverpoolu, grę przyspieszył Joao Neves. Podał do Chwiczy Kwaracchelii, który wbiegł w pole karne, minął swojego rodaka, zmylił całą obronę The Reds i ostatecznie trafił do bramki. Jego rajd był pokazem siły całego PSG, które tym meczem potwierdziło, że wszyscy najbliżsi rywale muszą mieć się na baczności. Walec z Francji nadciąga i chce zdobyć kolejną Ligę Mistrzów!

Kacper Janoszka

ĆWIERĆFINAŁ LIGI MISTRZÓW

■ **FC Barcelona – Atletico Madryt 0:2 (0:1)**
0:1 – Alvarez (45. wolny), 0:2 – Sorloth (70)
BARCELONA: J. Garcia – Kounde (73. Araujo), Cubarsi, Martin, Cancelo (86. Balde) – E. Garcia, Pedri (46. Gavi) – Yamal, Olmo, Rashford (73. F. Torres) – Lewandowski (46. F. Lopez). Trener Hansi FLICK.
ATLETICO: Musso – Molina, Le Normand, Hancko (31. Pubill), Ruggeri – Simeone (80. Almada), Llorente, Koke (60. Baena), Lookman (60. Sorloth) – Griezmann (80. N. Gonzalez), J. Alvarez. Trener Diego SIMEONE.
Żółte kartki: Gavi – Koke, Pubill, Baena; **czerwona** - Cubarsi.

■ **Paris Saint-Germain – Liverpool 2:0 (1:0)**
1:0 – Doue (11), 2:0 – Kwaracchelia (65)
PSG: Safonow – Hakimi, Marquinhos, Pacho, Mendes – Zaire-Emery, Vitinha, Neves – Doue (77. Lee), Dembele, Kwaracchelia. Trener Luis ENRIQUE.
LIVERPOOL: Mamardaszwili – Gomez, Konate, van Dijk, Kerkez (78. Robertson) – Gravenberch, Mac Allister – Frimpong (90+1. Nyoni), Szoboszlai (78. Jones), Wirtz (78. Gakpo) – Ekitike (78. Isak). Trener Arne SLOT.
Żółte kartki: Gomez, Mac Allister.

Smoki chcą spalić las

Bednarek u boku 41-latka, wyspany Cash czy może wciąż progresujący Potulski? Polacy mogą wybiec dziś na boiska pucharów drugiej i trzeciej kategorii, bynajmniej nieustępujących emocjami Lidze Mistrzów!

LIGA EUROPY/LIGA KONFERENCJI

Ci, którzy odczuwają pewne znużenie powtarzającymi się parami w Champions League, bez obaw mogą obrócić się w stronę Ligi Europy. Jej spotkania zapowiadają się gorąco, zresztą... kilka tych ekip też wcale niedawno rywalizowało w Lidze Mistrzów. Klasycznie dominować na murawach będą dziś kluby europejskiego TOP 5, pośród których wyróżnia się portugalskie Porto.

Senior między Polakami

W Polsce rzecz jasna zespół ten zyskał na popularności za sprawą biało-czerwonego tria, które jednak w pucharach przybiera formę duetu. Oskar Pietuszewski nie został bowiem zgłoszony do Ligi Europy. Smoki ściągnęły zimą czterech zawodników, a do pucharowej listy mogły dopisać tylko trzech – i 17-letni skrzydłowy znalazł się poza nią.



Fot. Icon Sport/SIPA USA/PressFocus

Czy Jakub Kiwior dostanie szansę w meczu z Nottingham Forest?

Porto radzi sobie w LE dobrze, także za sprawą duetu Jakub Kiwior – Jan Bednarek, który teraz stanie przed wymagającym zadaniem, jakim jest dwumecz z Nottingham Forest. Portugalczycy znają tego rywala doskonale, bo mierzyli się z nim już w hicie fazy ligowej, przegrywając w delegacji 0:2. Anglicy – jak to oni w rozgrywkach innych niż Premier League i Liga Mistrzów – grają w LE rezerwami, choć akurat w październiku... wystawili pierwszy garnitur.

Przeglądając portugalskie media można zauważyć, że w Porto wiarę pokładają w 41-letnim stoperze Thiago Silvie – jednym z tych, którzy wzmocnili drużynę zimą. W poprzednim dwumeczu LE, ze Stuttgartem, Brazylijczyk tworzył parę stoperów z Bednarkiem (Kiwior odpoczywał na ławce), osiągając przy okazji barierę tysiąca występów w profesjonalnym futbolu! „Spokój i profesjonalizm, jaki wnosi do szatni, są postrzegane jako przykład dla młodszych zawodników. Trener doskonale zdaje sobie sprawę z doświadczenia Brazylijczyka i zamierza je wykorzystać" – czytamy w A Boli.

Wypoczęci Anglicy

Ciekawie też będzie w Bolonii, gdzie gospodarze – bez kontuzjowanego Łukasza Skorupskiego – podejmą Aston Villę. The Villans – jak i Nottingham – w LE nie boją się rotacji, ale im bliżej finału, tym poważniej traktują te rozgrywki. Sytuacja w Premier League trochę im się skomplikowała i nie wiadomo, czy uda im się awansować do Ligi Mistrzów przez tabelę – a jak wiadomo, można to też osiągnąć zwyciężając LE. Na korzyść wyspiarzy, w barwach których może zagrać Matty Cash, będzie działał fakt, że ostatni mecz rozegrali... 22 marca. Potem była przerwa na reprezentację, a w miniony weekend grał tylko Puchar Anglii, z którym Aston Villa już się pożegnała.

Warto też dodać, że współodpowiedzialnym za VAR w meczu Freiburga z Celtą Vigo będzie dzisiaj polski sędzia Tomasz Kwiatkowski.

Kapitalny Potulski

Mocnych firm nie brakuje też w Lidze Konferencji. Najciekawiej zapowiadają się rywalizacje niemiecko-francuska (Mainz – Strasbourg) i angielsko-włoska (Crystal Palace – Fiorentina). W ekipie z Moguncji może zagrać Kacper Potulski, który w zeszły weekend zebrał świetne recenzje za mecz z walczącym o Ligę Mistrzów Hoffenheim. 18-latek wszedł na murawę już w 37 minucie i przyczynił się do wyjazdowego zwycięstwa Mainz, które już na dobre wygrało walkę o utrzymanie. „24/25 celnych podań (96 procent), 8/8 wygranych pojedynków (100 proc.). Kosmos. Ale i tak suche liczby nie oddają wszystkiego. Wiele trudnych, progresywnych podań i kilka kluczowych pojedynków, w których kasował Bazoumanę Toure. Kapitalny występ" – ocenił bundesligowy ekspert i komentator Tomasz Urban. Potulski zagrał w tym sezonie LK w każdym meczu oprócz... spotkania w Poznaniu.

Piotr Tubacki

ĆWIERĆFINAŁY LIGI EUROPY

■ **Sporting Braga - Betis Sewilla 1:1 (1:0)**
1:0 - Grillitsch (5), 1:1 - Hernandez (61. karny)

Czwartek: Bologna – Aston Villa, Porto – Nottingham, Freiburg – Celta (wszystkie 21.00)

ĆWIERĆFINAŁY LIGI KONFERENCJI

Czwartek: Rayo – AEK (18.45), Mainz – Strasbourg, Crystal Palace – Fiorentina, Szachtar – AZ (wszystkie 21.00)

Sport e5e5d9e754



Fot. Marcin Bulanda/PressFocus

Szymon Sobczak na pewno wierzy, że limit pecha już wyczerpał.

Snajper stracił instynkt

Szymon Sobczak wciąż pozostaje bez gola po powrocie do Zagłębia Sosnowiec.

Nie tak zapewne wyobrażał sobie powrót do Sosnowca Szymon Sobczak. Doświadczony napastnik w żadnym z ośmiu meczów nie wpisał się na listę strzelców, a jego zespół czeka walka o utrzymanie w Betclic 2. Lidze.

Czeka 11 miesięcy

Prawie 34-letni zawodnik pozostaje bez trafienia w całym bieżącym sezonie, bo w... ośmiu jesiennych spotkaniach w barwach Arki Gdynia również milczał. Po raz ostatni z gola cieszył się 4 maja 2025 roku, kiedy dwukrotnie trafił z „wapna", zapewniając ekipie z Pomorza zwycięstwo z Niecieczą 2:1. Od tamtej pory jego licznik bramkowy wskazuje 0. Nie ma się jednak co dziwić - 8 meczów, zaledwie 150 minut na murawie i wielkie rozczarowanie po awansie do ekstraklasy. Tak wyglądała runda jesienna w wykonaniu byłego gracza m.in.: Górnika Zabrze czy Wisły Kraków. W sumie, wliczając końcówkę ubiegłego sezonu, Sobczak nie strzelił gola w 18 kolejnych ligowych meczach. Skuteczność, a w zasadzie jej brak to niejedyny problem tego zawodnika. Na „dzień dobry" podpadł kibicom Zagłębia, którzy na początku rundy wywiesili transparent o treści: „Myśleliście, że to jest polski Cristiano, a on tu przyszedł tylko zarobić siano. Kwotę kontraktu ustalił telefonicznie, tak rządzicie klubem patologicznie". W ten sposób fani pokazali, co myślą na temat zakontraktowania - na 2,5 roku - gracza, który w Sandecji Nowy Sącz miał żądać kontraktu opiewającego na 35 tysięcy miesięcznie. Czy tak było naprawdę? Trudno ustalić, bo piłkarz nie odniósł się do tych rewelacji. W Sosnowcu aż tak wysokiej pensji pewnie nie dostał, ale jeśli kontrakt ma obowiązywać tak długo, to sam piłkarz na pewno stratny nie będzie. Pytanie, jak potoczą się jego i kolegów losy, gdy Zagłębie spadnie do Betclic 3. Ligi?

SOBCZAK W ZAGŁĘBIU

2020/21 (wiosna) - 14/1
2021/22 - 34/17
2022/23 - 29/9
2025/26 (wiosna) - 8/0

Zabrali mu gola

Najbliższą okazję na przełamanie będzie dla Sobczaka mecz z ŁKS-em II Łódź, który może być dla sosnowiczan jedną z ostatnich szans na podtrzymanie nadziei na utrzymanie. Wiosną 2023 roku Sobczak przyczynił się do utrzymania klubu na zapleczu ekstraklasy. Strzelił kilka ważnych goli, m.in. w wygranym 1:0 spotkaniu z Podbeskidziem. Był to ostatni gol tego napastnika w barwach Zagłębia. Wprawdzie kilka tygodni temu, w zremisowanym 2:2 meczu z Wartą Poznań piłka po jego dobitce przekroczyła linię bramkową, ale sędzia liniowy tego nie zauważył i radość okazała się przedwczesna, bo w 2. lidze nie ma VAR-u. Jeśli Sosnowiczanie nie chcą grać w jeszcze bardziej „peryferyjnych" warunkach, sobotni mecz bezwzględnie muszą wygrać. Z pomocą Sobczaka? Podczas pierwszej przygody z Zagłębiem na premierowe trafienie czekał do 11. występu. Jak będzie tym razem? Zegar tyka...

Krzysztof Polaczkiewicz

BEZ DZIEDZICA

■ Z funkcją dyrektora sportowego Zagłębia pożegnał się Janusz Dziedzic. Były zawodnik klubów ekstraklasy pełnił ją od 7 czerwca 2025 roku, ale jego umowa została rozwiązana za porozumieniem stron.

Musi być ten pierwszy raz!

Rewanżowy mecz tygodnia w 1/8 finału Machineseeker EHF Champions League w Orlen Arenie zapowiada się jak bitwa o wszystko. - Będzie ciężko, ale damy radę - zapewnia Xavier Sabate, trener Nafciarzy.

LIGA MISTRZÓW



Fot. Przemysław Strąk/PressFocus

W dzisiejszym meczu wiele będzie zależało od skuteczności supersnajpera Orlen Wisły, Melvyna Richardsona.

Prawdziwych mężczyzn poznaje się nie po tym, jak zaczynają, a jak kończą. Płoccy mistrzowie Polski okazali się trzecią siłą grupy B i z nadzieją patrzyli w przyszłość. Byli też faworytem dwumeczu 1/8 finału ze Sportingiem Lizbona, który zmagania grupowe zakończył na 6. pozycji.

To nie koniec świata

Tymczasem w trakcie pierwszego meczu kibice w Pavilhao Joao Rocha przecierali oczy ze zdumienia. Nafciarze rozgrywali bowiem najsłabsze, wyłączając dwa starcia z Barceloną, spotkanie w tej edycji Ligi Mistrzów. Odwrotnie gospodarze, którzy w 40 minucie prowadzili już 25:15 i sprawa awansu do ćwierćfinału zdawała się rozstrzygnięta. Na szczęście w ostatnim kwadransie ambitnie grający Niebiesko-biało-niebiescy zniwelowali straty do czterech trafień (29:33) i ze stolicy Portugalii wyjeżdżali w miarę usatysfakcjonowani, ponieważ 4 bramki różnicy to nie jest koniec świata. - Rewanż zapowiada się jak bitwa o wszystko. Po pierwszym spotkaniu pozostaje spory niedosyt i sportowa złość, szczególnie po bardzo słabej pierwszej połowie - podsumował mecz sprzed tygodnia trener Xavier Sabate, dodając z optymizmem. - Wiemy, że będzie ciężko, ale damy radę. Gramy u siebie, przed naszymi kibicami i potrzebujemy ich wsparcia przez pełne 60 minut, by nasza magia mogła zadziałać.

EHF ceni Wisłę

Ten dwumecz cieszy się wyjątkową estymą działaczy Europejskiej Federacji Piłki Ręcznej, ponieważ znów nadała mu rangę meczu tygodnia. - Potrafimy wyciągać wnioski i reagować w najważniejszych momentach. Teraz zagramy w domu. To będzie zupełnie inny mecz, bo własna hala to nasza twierdza. Każdy wie, jak wielką siłę daje atmosfera w Orlen Arenie. Gdy hala żyje, a kibice niosą drużynę, wszystko staje się możliwe – powiedział szkoleniowiec Wisły, zapraszając kibiców na rewanż.

- Będziemy musieli zagrać perfekcyjnie. Wiemy, że będziemy w niekorzystnym środowisku, i że potrzebujemy ogromnej kontroli emocjonalnej. Nie możemy sobie pozwolić na załamanie w trudnych momentach i musimy trzymać się wyniku. Wiemy, co zrobiliśmy dobrze w Lizbonie, ale wiemy też, co możemy poprawić w Płocku - stwierdził spokojnie Ricardo Costa, trener mistrzów Portugalii, którzy jeszcze nigdy nie przegrali w Orlen Arenie. Ale kiedyś musi być ten pierwszy raz, nieprawdaż?

1/8 FINAŁU LIGI MISTRZÓW (REWANŻE)

Czwartek, 9 kwietnia

■ Orlen Wisła Płock – Sporting Lizbona (pierwszy mecz 29:33), godz. 18.45; transmisja - Eurosport 1

■ Paris Saint-Germain – One Veszprem HC (24:32), godz. 20.45; transmisja -Eurosport 1

CZY WIESZ, ŻE...

■ Orlen Wisła ze Sportingiem wygrała tylko raz. Było w 2020 roku, play offie Ligi Europejskiej.

■ Do pełnej sprawności wraca obrotowy Dawid Dawydzik. Przed tygodniem zagrał krótko, ale dziś powinien dłużej.

■ Francisco Costa, portugalski rozgrywający Sportingu, zdobył 103 bramki i jest obecnie 4. strzelcem Ligi Mistrzów. Tuż za nim plasuje się francuski rozgrywający Wisły, Melvyn Richardson, który zdobył 99 goli.

■ Czwartkowy rewanż w Orlen Arenie rozstrzygnie, który z zespołów awansuje do ćwierćfinału, gdzie już czeka mistrz Danii, Aalborg HB.

TEST ŚWIATOWEJ GWIAZDY

■ Oficjalna strona EHF przeprowadziła test wiedzy na temat światowej gwiazdy. Jest nią bez wątpienia Melvyn Richardson, który dołączył do Orlen Wisły Płock latem 2025 roku po czteroletnim pobycie w Barcelonie. Test składał się z 10 pytań, które prezentujemy poniżej wraz z odpowiedziami.

1. Kiedy i gdzie urodził się Melvyn Richardson?
- 31 stycznia 1997 roku w Marsylii.

2. Gdzie zaczynał karierę?
- W klubie Chambery.

3. Ile złotych medali zdobył jako młodzieżowy reprezentant Francji?
- Melvyn zdobył złoty medal młodzieżowych mistrzostw Europy w 2014 roku oraz młodzieżowych mistrzostw świata w 2015 roku. Był również brązowym medalistą młodzieżowych mistrzostw świata w 2017 roku.

4. Kiedy zadebiutował w seniorskiej reprezentacji Francji?
- W czerwcu 2017 roku, w meczu przeciwko Belgii.

5. Kiedy zdobył pierwszy seniorski medal?
- Mistrzostwa świata w 2019 roku były pierwszym poważnym turniejem Richardsona, na których Francuzi zdobyli brąz.

6. Jakie najcenniejsze trofea zdobył z Trójkolorowymi?
- Złoto na igrzyskach olimpijskich 2020 po zwycięstwie nad Danią 25:23 i na mistrzostwach Europy w 2024 roku. W finale Francja pokonała... Danię 33:31.

7. Z iloma klubami wygrywał Ligę Mistrzów?
- Ligę Mistrzów wygrał z Montpellier w 2018 roku ora z Barceloną w 2022 i 2024 roku.

8. Ile goli zdobył w tej edycji Ligi Mistrzów?
- Do tej pory rzucił 99 goli, przekraczając swój poprzedni rekord - 87 trafień w sezonie 2018/19.

9. Jego ojciec Jackson również był zawodowym piłkarzem ręcznym. Z którym klubem wygrał Ligę Mistrzów?
- Jackson Richardson wygrał Ligę Mistrzów w 2001 roku z hiszpańskim Portland San Antonio.

10. Melvyn Richardson ma ponad 100 występów w reprezentacji, ale to jego ojciec posiada rekord wszech czasów. Z iloma meczami?
- Jackson Richardson pozostaje reprezentantem Francji z największą liczbą występów w historii. Wystąpił w 417 meczach i zdobył 775 bramek!

Sport e5e5d9e754

Spacer po Sali

Po takiej sobie pierwszej połowie Biało-czerwone zdołały się spiąć i rozgromić Słowaczki. W niedzielę w Radomiu o półfinał zagrają z Rumunkami.


Fot. Paweł Bejnarowicz/PressFocus

Magda Balsam była wczoraj bezbłędna.

EHF EURO CUP

Chcąc przedłużyć szanse na awans do wrześniowego półfinału turnieju przeznaczonego dla współgospodarzy tegorocznych mistrzostw Europy (Polska, Słowacja, Rumunia, Turcja, Czechy) oraz medalistów poprzednich (Norwegia, Dania, Węgry), Polki po raz drugi musiały pokonać Słowaczki. Większość z powołanych miała w pamięci 28:20 w Mielcu, więc do miejscowości Sala (40 km od Trnawy) jechały ze spokojem.

Z pomocą Loke

Myślami były przy selekcjonerze Arne Senstadzie, który ze względów zdrowotnych nie mógł przyjechać na zgrupowanie, powierzając zespół Adrianowi Struzikowi. Szkoleniowiec ten od trzech lat asystuje Norwegowi, a wczoraj aktywnie wspierała go Heidi Loke, do niedawna jedna z najlepszych zawodniczek świata. Była obrotowa nie udzielała się podczas przerw na żądanie, skupiając się na indywidualnych rozmowach i krótkich komunikatach. Trener Struzik nie zaplanował rewolucji i Polki zaczęły sprawdzonym składem. Przełożyło się to na szybkie objęcie prowadzenia i pełnej kontroli nad spotkaniem. Szczelna obrona pomagała Paulinie Wdowiak, odbijającej sporo piłek, ale z biegiem czasu w poczynania naszego zespołu wkradło się nieco chaosu. Kierowane przez Karin Bujnochovą (rozgrywająca spędziła dwa sezony w Zagłębiu Lubin, zdobywając 202 bramki) rywalki zaczęły trafiać. Na szczęście niezbyt regularnie, ale długo utrzymywały kontakt, a w 27 minucie nawet wyszły na prowadzenie (10:9). To zmobilizowało nasze panie i po czterech przechwytach cztery bramki zdobyły skrzydłowe, Magda Balsam oraz wracająca po 10 latach do kadry Joanna Gadzina, ustalając wynik pierwszej połowy.

100 procent na skrzydłach

Po zmianie stron gra polskiego zespołu wyglądała jeszcze lepiej. Imponowały zwłaszcza skrzydłowe; trudno sobie przypomnieć mecz, w których cztery zawodniczki - do Balsam i Gadziny trzeba dodać Adriannę Górną i Darię Michalak - miały 100-procentową skuteczność. Wymieniony kwartet zdobył aż 22 z 34 bramek całej drużyny. Podobać się mogła także postawa w defensywie, dzięki której gra zespołu była stabilna, a przewaga sukcesywnie rosła. Dzięki temu Biało-czerwone jeszcze bardziej kontrolowały zawody, zaś szkoleniowcy mogli rotować składem. - Możemy być zadowoleni z tego, jak graliśmy w obronie, zwłaszcza w drugiej połowie, kiedy realizowaliśmy założenia taktyczne. Zespół chciał pokazać trenerowi Senstadowi, że proces rozwoju idzie w dobrą stronę, a nasza praca się sprawdza. Fajnie, że w Radomiu zagramy o awans do najlepszej czwórki - powiedział Adrian Struzik. Żeby awansować, Polki muszą wygrać z Rumunkami minimum pięcioma bramkami. Rumunki przegrały wczoraj z Norweżkami 25:45 (9:24).

Marek Hajkowski

■ **Słowacja - Polska 21:34 (10:13)**

SŁOWACJA: Furgalakova, Ivanytsia - Ratvajska 1, Vargova 3, Bujnochova 2, Pastorkova 1, Gyoriova 1, Rajnohova 3, Sabovova 1, Popovcova 3/2, Pocsikova 4/1, Szcipova, Szutranova 2, Hudak, Lengyel. Kary: 12 min. Trener Jan BENADIK.

POLSKA: Wdowiak, Płaczek - Balsam 11/6, Kobylińska 1, Uścinowicz, Noga 3, Rosiak 1, Michalak 3, Cygan 3, Gadzina 5, Nosek 1, Pankowska 1, Polańska, Górna 3, Głębocka 1, Granicka 1. Kary: 6 min. Trener Adrian STRUZIK.

Sędziowały: Jovana Dasic i Charlotte Husomanovic (Norwegia). **Widzów** 1169.

Przebieg meczu: 0:1 (2), 2:3(5), 4:4 (10), 4:6 (16), 5:7 (20), 10:9 (27), 10:13 (30), 11:13 (32), 12:15 (36), 14:19 (40), 16:21 (44), 18:25 (50), 21:32 (57), 21:34 (60).

Zabrakło zimnych głów...

Wypełniona Hala Legionów okazała się twierdzą do zdobycia. Ostatni fragment Kielczanie przegrali 1:5 i dlatego to rywale z Segedynu, a nie oni zmierzą się w 1/4 finału z Magdeburgiem.


Fot. Tomasz Fąfara/PressFocus

Walka na maksa nie zawsze kończy się sukcesem. Przekonali się o tym boleśnie ambitni wicemistrzowie Polski.

LIGA MISTRZÓW

Po porażce w Segedynie (23:26) Industria musiała wygrać w rewanżu co najmniej czterema golami. To był warunek sine qua non awansu do ćwierćfinału Ligi Mistrzów. - Te trzy bramki to dużo i mało, a że stoimy pod ścianą, to nas tylko dodatkowo motywuje. Jesteśmy w przerwie dwumeczu, mamy 60 minut, by odrobić straty - stwierdził trener Tałant Dujszebajew.

Słabiutki początek

Tymczasem po bardzo słabym początku i niespełna 180 sekundach wicemistrzowie Polski mieli już 7 bramek do odrobienia! Klemen Ferlin obronił jednak rzut karny Mario Sostarica, zaliczył też kolejne cenne interwencje, co nieco obudziło jego kolegów. Rozpoczęła się więc właściwa bitwa, choć bramki padały falami. Ponadto - podobnie jak tydzień temu - znakomicie w bramce rywali spisywał się Roland Mikler, broniąc nawet stuprocentowe okazje, co zaniepokoiło trenera Dujszebajewa, który poprosił o minutową przerwę. Niestety, goście lepiej wyglądali do przerwy, za to skuteczność Kielczan wołała o pomstę do nieba. Po dobrej końcówce zbliżyli się na bramkę, ale wtedy Richard Bodo dokonał rzadko spotykanej sztuki - przebił się z rzutem wolnym przez kielecki mur już po czasie. Coś niewiarygodnego! Niestety, jeśli podopieczni Tałanta Dujszebajewa mieli godzinę na odrobienie trzech bramek strat, to teraz zostało im 30 minut na zniwelowanie pięciu goli.

Gonimy, gonimy i nic z tego

Druga połowa rozpoczęła się tak samo niefortunnie jak pierwsza, od bramek gości, którzy jednak nagle zgubili pomysł na mecz, podając wicemistrzom Polski tlen. Na tablicy pojawił się więc pierwszy remis, a za moment - po rzucie karnym Piotra Jarosiewicza - Kielczanie objęli dwubramkowe prowadzenie. Emocje rosły z każdą sekundą, a po rzucie Arstema Karaleka na 14 minut przed końcem straty zostały skasowane i dwumecz zaczynał się od nowa. Ale co tam, po rzucie Theo Monara w 51 minucie wicemistrzowie Polski byli 4 bramki na plusie i w najlepszej ósemce Europy!

Nerwy były jednak do samego końca. Na 2,5 minuty przed końcem na ławkę kar powędrowali razem Karalek i Marin Jelinić. Niestety, Michał Olejniczak oddał piłkę rywalom w ataku i Bodo trafił, a za chwilę Mikler znakomicie zatrzymał Daniela Dujszebajewa, przechylając szalę wygranej na węgierską stronę.

Zbigniew Cieńciała

POD SZATNIĄ

■ **Alex DUJSZEBAJEW:** - W pierwszych 20 minutach zrobiliśmy to, co musieliśmy zrobić. Odrobiliśmy straty. Niestety, w ostatnich minutach zabrakło nam zimnych głów. Daliśmy z siebie wszystko. Były chęci, ogromne zaangażowanie, nie wytrzymaliśmy jednak ciśnienia. Po sześciu tygodniach przerwy nie grałem najlepiej, ale chciałem pomóc zespołowi.

■ **Artsem KARALEK:** - Kiedy mieliśmy piłkę na plus 5, nie trafiliśmy do siatki i zniszczyliśmy końcówkę. Cisną się na usta niecenzuralne słowa... Ciężko się było przebić przez węgierską obronę, gdzie każdy zawodnik miał dwa metry wzrostu. 25 minut drugiej połowy pięknie wyglądało. Nasza obrona działała jak trzeba, bramki rzucaliśmy z głową,ale końcówka nam nie wyszła.

■ **Industria Kielce – OTP Bank-PICK Szeged 32:32 (17:19)**

KIELCE: Ferlin, Morawski - Jędraszczyk, Olejniczak 1, Sićko 8, A. Dujszebajew 2, Kounkoud, Maqueda 3, Moryto 2, D. Dujszebajew 4, Karalek 2, Vlah, Rogulski, Monar 1, Jarosiewicz 3/3, Nahi 6. Kary: 6 min. Trener Tałant DUJSZEBAJEW.

SZEGED: Mikler, Thulin - Smarasson 4, Bodo 3, Fazekasz, Jelinić 5, Sostarić 5/4, Banhidi 2, Karalasz (CZK, 52 min - gradacja kar), Toto 2, Nikolić, Kukić 6, Garciandia 3, Mackovsek, Rod 2, Szilagyi. Kary: 10 min. Trener Michael APELGREN.

Sędziowali: Mads Hansen i Jesper Madsen (Dania). **Widzów** 4200.

Przebieg meczu: 0:4 (3), 3:4 (7), 4:7 (9), 6:8 (10), 8:9 (13), 9:12 (18), 12:14 (22), 13:17 (27), 15:17 (28), 17:19 (30), 17:20 (31), 22:20 (38), 24:22 (42), 26:23 (46), 26:25 (48), 29:25 (51), 30:26 (53), 31:27 (55), 31:28 (57), 31:29 (59), 32:32 (60); pierwszy mecz 23:26; awans - Szeged.

Sport e5e5d9e754

Życie zweryfikowało marzenia

Rozmowa z **Piotrem Gliniakiem**, trenerem MB Zagłębie, piątej drużyny Orlen Basket Ligi Kobiet w sezonie 2025/26

ORLEN BASKET LIGA KOBIET

Jakie są pana wrażenia po debiutanckim sezonie w roli pierwszego trenera?

– Jak najbardziej pozytywne. Cieszy przede wszystkim zaufanie ze strony prezesa Arkadiusza Balińskiego i możliwość samodzielnego budowania składu. Zagraniczne transfery były trafione, co jak na debiut jest chyba dobrym znakiem. Napięty grafik oraz mecze rozgrywane w krótkich odstępach czasu – zarówno w polskiej lidze, jak i w Europie – były dużym zaskoczeniem i wyzwaniem dla zespołu.

Wyzwanie, z którym poradziliście sobie całkiem dobrze. Zakończyliście sezon ligowy na piątym miejscu, a w EuroCup po raz pierwszy w historii klubu dotarliście do 1/8 finału rozgrywek. Mimo wszystko niedosyt pozostał, bo apetyty przed playoffem były większe.

– Końcówka drugiej rundy w naszym wykonaniu była rewelacyjna. Siedem wygranych z rzędu naprawdę robiło wrażenie. Graliśmy w pełnym składzie i bardzo trudno było nas zatrzymać. Trzytygodniowa przerwa reprezentacyjna oraz kontuzja Matei Tadić wytrąciły nas z rytmu i zaburzyły funkcjonowanie zespołu. Oczywiście po takiej końcówce sezonu apetyty na medal były bardzo duże, ale życie zweryfikowało nasze plany i marzenia.

Czy brak Tadić w meczach z drużyną z Poznania w pierwszej rundzie play offu był kluczowy w kontekście niepowodzenia w tej rywalizacji?

– Brak Matei miał ogromne znaczenie i wpływ na końcowy wynik. Przede wszystkim to bardzo mądra rozgrywająca z ogromną wiedzą koszykarską; wspaniale kierowała grą zespołu. W całej lidze była najlepiej asystującą i przechwytującą zawodniczką. Zespół bardzo jej ufał i lubił z nią grać. Kontuzja Matei nie tylko osłabiła nas kadrowo, ale także podłamała zespół mentalnie – co było widać głównie w meczach rozegranych w Poznaniu.

Która zawodniczka zasłużyła na największe pochwały, a kto znalazł się na „drugim biegunie"?

– Przede wszystkim gra zespół i to on zasłużył na pochwały, zwłaszcza za końcówkę sezonu zasadniczego oraz postawę na europejskich parkietach. Przypomnę, że w obecności ponad 8 tysięcy widzów pokonaliśmy w Atenach utytułowany Panathinaikos. Każda z dziewczyn dała z siebie tyle, ile mogła. Pamiętajmy, że zespół buduje się w ramach określonego budżetu i w tym sezonie stworzyliśmy bardzo dobrą drużynę. Na pewno szansę wykorzystała Marysia Burliga, która w zeszłym sezonie nie otrzymała zbyt wielu okazji, aby się pokazać. Cieszę się, że jej zaufałem, a Marysia oddała to na parkiecie, udowadniając, że warto było na nią postawić.

Zostaje Pan w Zagłębiu? Ma Pan już w głowie plan, jak zbudować zespół na kolejny sezon?

– Tak, zostaję na przyszły sezon i już rozmawiamy z prezesem Balińskim o składzie. Chciałbym zatrzymać trzon zespołu, ale będzie to bardzo trudne zadanie. Rozmawiamy z „pierwszą piątką" z tego sezonu. Na pewno nie zobaczymy już u nas Sydney Taylor, MVP sezonu zasadniczego, która ma sporo ofert z mocniejszych lig niż nasza. Cały czas spływają propozycje od agentów, oglądam mecze, sprawdzam i analizuję. Teraz jest najważniejszy czas, jeżeli chodzi o budowanie zespołu na przyszły rok. Musimy go maksymalnie wykorzystać.

Rozmawiał Krzysztof Polaczkiewicz



Fot. Facebook MB Zagłębie Sosnowiec

Trener Piotr Gliniak ma za sobą debiutancki sezon.

TO JESZCZE NIE KONIEC

■ Półfinałowa seria trwa. W Poznaniu Gorzowianki wyrównały stan rywalizacji.

W Centrum Sportu Politechniki Poznańskiej odbył się czwarty mecz półfinałowej serii między Akademiczkami z Poznania i Gorzowa. Po trzech spotkaniach prowadziła miejscowa Enea Politechnika i znalazła się o krok od sprawienia ogromnej sensacji. W środę jednak podrażnione faworytki zagrały tak, jak oczekiwali eksperci oraz gorzowscy kibice. W pierwszej połowie przyjezdne wyrobiły sobie 12-punktową przewagę (40:28), a główna w tym zasługa fantastycznie dysponowanej Courtney Hurt (15 punktów do przerwy). Potem goście nie zwalniali tempa - w trzeciej kwarcie przewaga sięgnęła 20 oczek (57:37). Spotkanie było rozstrzygnięte. Dzięki skutecznej drugiej połowie najlepszą zawodniczką wygranych okazała się rezerwowa Ashley Owusu (23 punkty, 5 zbiórek, 4 asysty).

Decydujący piąty mecz odbędzie się w Arenie Gorzów w sobotę. Na zwycięzcę tej rywalizacji w finale czeka już AZS UMCS Lublin, który łatwo poradził sobie ze Ślęzą Wrocław.

■ **Enea AZS Politechnika Poznań - KSSSE Enea AJP Gorzów Wielkopolski 66:76 (14:16, 14:24, 19:19, 19:17)**
stan rywalizacji: 2-2 (do 3 wygranych).
POZNAŃ: Carter 9, Pszczolarska 4 (2x3), Brown 11, Hank 9, Piasecka 10 (2x3) – Kośla, Popović 15 (3x3), Puzio 6 (2x3), Haegenbarth 2. Trener Wojciech SZAWARSKI.
GORZÓW WLKP.: Szymkiewicz 5, Osborne, Telenga 8, Hurt 23, Steblecka – Owusu 23 (2x3), Gertchen 11 (3x3), Lebiecka 6, Stasiak. Trener Dariusz MACIEJEWSKI.

(pp)

CORAZ MNIEJ NIEWIADOMYCH

NBA

■ Koniec sezonu zasadniczego już w poniedziałek. Niewiadomych jest coraz mniej. Detroit Pistons są pewni rozstawienia z jedynką na Wschodzie, a Oklahoma City na 99 procent będzie najlepszym zespołem Zachodu. Thunder, aby zapewnić sobie najwyższe rozstawienie w play off, potrzebują jednego zwycięstwa lub jednej porażki Spurs. We wtorek ekipa trenera Marka Daigneault rozgromiła na wyjeździe Los Angeles Lakers. Gospodarze zaliczyli najgorszy wynik punktowy w sezonie, grali bez swoich asów: Luki Doncicia, LeBrona Jamesa, Austina Reavesa, Marcusa Smarta i Jaxsona Hayesa. W Los Angeles niepokoją się, czy Doncić zdąży wrócić na fazę play off. Słoweniec przebywa obecnie w Europie, gdzie poddaje się leczeniu naciągniętego ścięgna podkolanowego drugiego stopnia.

Oklahoma City Thunder potwierdzili, dlaczego są obecnie najlepsi w lidze. Shai Gilgeous-Alexander w swoim stylu uzbierał 25 punktów i 8 asyst, a Isaiah Joe ostrzeliwał rywali z dystansu, trafiając aż 6 trójek. Solidne wsparcie dali też młodzi, Chet Holmgren zaliczył double-double (15 punktów, 10 zbiórek), a Jared McCain dołożył 15 oczek. Dzięki tej wygranej Thunder nie tylko przedłużyli serię zwycięstw do sześciu, ale też upokorzyli Lakers, wygrywając z nimi wszystkie bezpośrednie starcia w tym sezonie (tzw. sweep).

We wtorek Timberwolves zapewnili sobie bezpośredni awans do play off dzięki wyjazdowej wygranej z Indiana Pacers 124:104 oraz porażce Phoenix Suns z Rockets 105:119. Słońca zagrają w barażach, w których zobaczymy też Los Angeles Clippers, Portland Trail Blazers i Golden State Warriors.

Minnesota w Indianapolis przerwała serię trzech porażek, wygrywając dopiero po raz drugi w ostatnich sześciu meczach. Wygrała mimo braku gwiazdora Anthony'ego Edwardsa oraz Jaydena McDanielsa. Edwards opuścił dziewięć z ostatnich jedenastu spotkań Minnesoty z powodu urazu prawego kolana. Pod nieobecność liderów Ayo Dosunmu zdobył 24 punkty, a Julius Randle i Bones Hyland dołożyli po 19 oczek.

- Mam wrażenie, że dzieli nas milion mil od drużyny, którą możemy być i którą faktycznie jesteśmy. Musimy odzyskać nasze zgranie i ducha walki. Kilku chłopaków musi po prostu zacząć grać lepiej - twierdzi trener Chris Finch. - Szczerze mówiąc wiele z tych rzutów to naprawdę dobre, czyste pozycje. Musimy po prostu zachować pewność siebie przy ich oddawaniu i dalej kreować je dla siebie nawzajem. Musimy wypracowywać te wszystkie detale, grać twardo i trzymać się planu. Zamiast tego zaczynamy niepotrzebnie ryzykować w obronie i tracimy dyscyplinę. Właśnie wtedy wszystko sypie się jak kula śnieżna - dodał szkoleniowiec Timberwolves.

Indiana – Minnesota 104:124, Washington – Chicago 98:129, Brooklyn – Milwaukee 96:90, Toronto – Miami 121:95, Boston – Charlotte 113:102, New Orleans – Utah 156:137, Golden State – Sacramento 110:105, LA Clippers – Dallas 116:103, LA Lakers – Oklahoma City 87:123, Phoenix – Houston 105:119. **(p)**

POLACY ZA GRANICĄ

Natchniony Jordan Loyd

Popisowy występ reprezentanta Polski w lidze tureckiej.

■ W lidze hiszpańskiej w okresie świątecznym spotkały się drużyny z naszymi zawodnikami w składach. W Bilbao Surne pokonało Malagę 90:74. Olek Balcerowski był czołowym zawodnikiem Unicaja, zdobywając 10 punktów przy bardzo wysokiej celności rzutów za dwa punkty (80 procent). Miał też 4 zbiórki. Mimo solidnej postawy i najwyższego wskaźnika efektywności w drużynie (12), jego zespół nie poradził sobie z lepiej zorganizowaną ekipą z Bilbao. Dobry występ indywidualny przyćmiły jedynie słaba skuteczność z linii rzutów wolnych oraz trzy straty.W ekipie gospodarzy Luke Petrasek również zagrał bardzo dobre zawody - w 21 minut zdobył 10 punktów, miał 7 zbiórek i przechwyt.
W tabeli Unicaja (15-10) jest na miejscu ósmym, a tuż za nią znajduje się Bilbao (15-11).

■ W Bundeslidze Rostock Seawolves pokonali na wyjeździe MLP Academics Heidelberg (101:70), ale Łukasz Kolenda tym razem nie pojawił się w składzie. To 14. zwycięstwo w sezonie drużyny trenera Przemysława Frasunkiewicza. Seawolves zajmują 9. miejsce w tabeli, liderem pozostaje Bayern Monachium.

■ W lidze włoskiej Bertram Derthona Tortona przegrał w Treviso z tamtejszym NutriBullet Basket (86:91). Dominik Olejniczak był dominującą postacią pod koszem, notując 9 punktów przy 75-procentowej skuteczności rzutów z gry. Z dorobkiem 7 zbiórek (w tym 3 w ataku) był też najlepszym zbierającym swojego zespołu. Tortona zajmuje 5. miejsce w tabeli Serie A. Liderem jest Virtus Bolonia.

■ W lidze tureckiej Anadolu Efez pokonało Petkim Spor. Rewelacyjne spotkanie rozegrał Jordan Loyd. Lider naszej reprezentacji w 27 minut zdobył 26 punktów, jak natchniony rzucał za trzy (6/6)! Dodatkowo miał 3 asysty, zbiórkę i przechwyt.
Besiktas pokonał Karsiyakę (92:86), a Michał Sokołowski wyszedł w pierwszej piątce pokonanych outsiderów. Polak w 25 minut zdobył 5 punktów (1/4 z gry, 3/3 osobiste), miał 3 zbiórki i asystę. Anadolu Efez jest na miejscu 5. w tabeli, a Karsiyakla na przedostatnim. Liderem pozostaje Fenerbahce.

(pp)

Sport e5e5d9e754

Bój na noże

Uciekliśmy spod topora. Żyjemy. U siebie znowu będziemy się bić – zapowiedział Jakub Popiwczak, libero Jurajskich Rycerzy.

PLUSLIGA

Lider po fazie zasadniczej, Aluron CMC Warta Zawiercie, w pierwszej rundzie play offu napotkał na nadspodziewanie silny opór ze strony ósmej ZAKSY Kędzierzyn-Koźle. Po dwóch meczach jest remis. W pierwszym spotkaniu ZAKSA wygrała 3:2 i przed własną publicznością miała ogromną szansę na zakończenie rywalizacji. Okazji nie wykorzystała, po wyrównanym i dramatycznym starciu przegrała 1:3.

Kędzierzynianie mieli czego żałować. Po dwóch setach był remis, a w trzecim wygrywali 17:12. Nie dobili Jurajskich Rycerzy, co się zemściło. – Jest duży żal, że wypuściliśmy ten mecz. Dopinając trzeci set, mamy 2:1 i gra się inaczej tego czwartego seta, który i tak był na styku. Bardzo żałuję i bardzo mi jest szkoda tego meczu – nie krył rozczarowania wynikiem Jakub Szymański, przyjmujący ZAKSY.

Kędzierzynianie w ostatnim starciu zaimponowali. Kapitalnie spisywali się w defensywie, podbijając mnóstwo piłek. - Niesamowite są te mecze, poziom dramaturgii. Mam wrażenie, że jest bardzo dużo dobrej gry. Po stronie ZAKSY nic nie chciało wpaść w „pomarańczowe". W głowach sobie mówiliśmy, co musimy zrobić, jak skoczyć do bloku, jak mocno zaatakować, by piłka w końcu wpadła w boisko, a nie została zaasekurowana. Na szczęście wytrzymaliśmy to. Spotkały się dwie mocne drużyny, które potrafią grać w siatkówkę, bijemy się na noże i o to w tym chodzi – nie krył podziwu dla postawy rywali libero Jurajskich Rycerzy Jakub Popiwczak. – Nie ma co ukrywać, że w drugim starciu bardzo ważna była psychika, bo po drugim secie witaliśmy się już z gąską. Było 1:1, zaczęliśmy bardzo źle trzecią partię... ZAKSA miała wszystko po swojej stronie, aby nas powoli dobijać. Ale odrodziliśmy się. W czwartej odsłonie znowu było trudno, ale to my wyszliśmy ze starcia zwycięsko. Czapki z głów przed chłopakami – dodał.

Przebiegiem rywalizacji nie jest zaskoczony przyjmujący Aluronu CMC Warty Bartosz Kwolek. – Takie jest życie, tak się właśnie gra w play offie. Było widać, że Kędzierzynianie wyszli mocno naładowani, bronili bardzo dużo piłek. Na szczęście, i w przeciwieństwie do pierwszego spotkania, w Sosnowcu wykorzystaliśmy szanse, które mieliśmy. Tym razem końcówki setów zakończyły się korzystnie dla nas – ocenił.

W czwartek w Sosnowcu mecz numer trzy (początek 17.30), decydujący. Obie ekipy nastawiają się na twardy bój. - Czasu na przygotowania nie było dużo. Gramy o życie, tak samo jak Zawiercianie, ale z tą różnicą, że my takie spotkania gramy już od marca. Pod koniec fazy zasadniczej dla nas każdy mecz był o życie, by w ogóle zameldować się w play offie. Damy z siebie totalnego maksa – zapewnił Mateusz Rećko, atakujący kędzierzyńskiej drużyny. - Nie ma czasu rozpamiętywać meczu, bo każdy następny jest tak naprawdę o życie. Trzecie, czwartkowe spotkanie właśnie jest o życie, więc nie ma co rozpamiętywać. Ważne jest nasze zwycięstwo. W czwartek musimy pokazać dobrą siatkówkę i wygrać – podkreślił Kwolek.

Michał Winiarski, szkoleniowiec Aluronu CMC Warty, liczy, że jego zespół w końcu poprawi się w polu serwisowym. Tu widzi największe rezerwy. – Na razie nic nie zrobiliśmy. Jesteśmy w takiej samej sytuacji, co przed meczem w Kędzierzynie-Koźlu. Teraz czeka nas podobna bitwa, bo ZAKSA pokazała, że grając na luzie momentami prezentuje niesamowitą siatkówkę. Mam tylko nadzieję, że wreszcie trafimy zagrywką, bo tym elementem w dotychczasowych meczach nie zrobiliśmy tyle krzywdy, co zawsze – stwierdził szkoleniowiec. **(mic)**



Bartosz Kwolek w ostatnim czasie prezentuje wyborną formę.

Fot. Marcin Bulanda/PressFocus

Czwartek, 9 kwietnia
■ **SOSNOWIEC, 17.30:** Aluron CMC Warta Zawiercie – ZAKSA Kędzierzyn-Koźle

Wyszarpany finał

PGE Budowlani Łódź po siedmiu latach znów zagrają o złoto.

TAURON LIGA

Łodzianki w ostatnich latach regularnie awansowały do czołowej czwórki, ale do finału nie potrafiły się przebić. Po raz ostatni zagrały w nim w sezonie 2018/19. Przegrały go z inną łódzką drużyną, ŁKS 0-3.

Tym razem stanęła na wysokości zadania. Półfinałową batalię z Uni Opole rozstrzygnęły w dwóch meczach. Triumf nie przyszedł im jednak łatwo. Pierwsze spotkanie wygrały pewnie, ale w rewanżu w Opolu miejscowe stawiły im twardy opór. Spotkanie rozstrzygnęło się dopiero w tie breaku. Lepiej weszły w niego Opolanki, które wywalczyły dwa punkty przewagi (5:3).

Wtedy nastąpił pierwszy zwrot akcji. Przyjezdne przy zagrywce do tej pory zawodzącej Karoliny Drużkowskiej wywalczyły pięć kolejnych punktów. Gdy wydawało się, że spotkanie jest rozstrzygnięte, zespoły znów zamieniły się rolami. Uni się nie poddało. Kapitalną partię rozgrywała Katarzyna Zaroślińska-Król. Po jej atakach Opolanki odzyskały prowadzenie (12:11). Cieszyły się nim tylko chwilę. W końcówce zabrakło im precyzji i szczęścia. Więcej punktów już nie wywalczyły. Decydujący cios zadała Maja Storck, popisując się kapitalnym atakiem po skosie.

Półfinał (do 2 wygranych)
■ **Uni Opole – PGE Budowlani Łódź 2:3 (27:25, 21:25, 23:25, 25:18, 13:15)**
OPOLE: Makarowska-Kulej (3), Guereca (16), Kecher (11), Zaroślińska-Król (25), Hellvig (18), Połeć (1), Łyduch (libero) oraz Kępa, Paluszkiewicz (3), Mułka. Trener Bartłomiej DĄBROWSKI.
BUDOWLANI: Grabka (2), Damaske (16), Lelonkiewicz (5), Storck (25), Buterez (8), Planinsec (16), Łysiak (libero) oraz Honorio (2), Drużkowska (5), Siuda. Trener Maciej BIERNAT.
Sędziowali: Gabriela Ferenczak (Kraków) Piotr Kasprzyk (Libiąż). **Widzów** 3058.
Przebieg meczu
I: 10:5, 14:15, 16:20, 25:24, 27:25.
II: 8:10, 10:15, 14:20, 21:25.
III: 10:6, 15:12, 20:18, 23:25.
IV: 10:4, 15:9, 20:13, 25:18.
V: 5:3, 7:10, 13:15.
Bohaterka – Sasa PLANINSEC.
Stan rywalizacji 0-2. Awans PGE Budowlanych.

Następne mecze: 9.04.: Mielec – LKS; 11.04.: Mogilno – Radom, Rzeszów – Bielsko-Biała. **(mic)**

Mówią do widzenia!

Jastrzębianie, przegrywając trzeci mecz play offu w Warszawie z PGE Projektem, zakończyli sezon. Dla trzech zawodników było to pożegnanie z PlusLigą.

JSW JASTRZĘBSKI WĘGIEL

Benjamin Toniutti, Nicolas Szerszeń i Adrian Staszewski tuż po zakończeniu ćwierćfinałowego spotkania ze stołeczną ekipą ogłosili, że był to ich pożegnalny występ w PlusLidze. Pierwszy wyjeżdża z Polski, a Staszewski i Szerszeń zakończyli kariery. - To decyzja ostateczna, dobrze przemyślana – powiedział Adrian Staszewski. – Jest trochę smutno, pojawiają się łzy w oczach, ale kiedyś musiało to nastąpić – dodał.

36-latek w PlusLidze spędził 11 sezonów, w których rozegrał 197 spotkań, zdobywając 810 punktów. Grał w Farcie Kielce, ZAKSIE Kędzierzyn-Koźle, Asseco Resovii i JSW Jastrzębskim Węglu. Największe sukcesy odnosił z ZAKSĄ. Zdobył z nią mistrzostwo Polski, trzy krajowe puchary, a także trzykrotnie wygrał Ligę Mistrzów. W 2024 roku z Asseco Resovią wywalczył Puchar CEV.



PlusLiga w osobie Benjamina Toniuttiego straciła wielką gwiazdę.

Fot. Weronika Moriciszek/PressFocus

Szerszeń karierę kończy, mając zaledwie 29 lat. Urodził się we Francji, ale jego rodzice pochodzą z Polski. Był zawodnikiem Asseco Resovii, Ślepska Malow Suwałki, LUK-u Lublin, Indykpolu AZS-u Olsztyn i w tym sezonie JSW Jastrzębskiego Węgla. W 164 spotkaniach zdobył 1971 punktów (pięć w pożegnalnym występie), z czego aż 222 zagrywką. Jego rekord to osiem asów w meczu.

Jego talent nie rozwinął się jednak tak, jak się spodziewano. Na przeszkodzie stanęły liczne kontuzje. Nie ominęły go i w bieżących rozgrywkach. – W połowie sezonu zdecydowałem, że po jego zakończeniu będę kończył karierę i zostanę trenerem w Stanach Zjednoczonych. To była decyzja moja i całej rodziny, patrząc na moją historię kontuzji i tego sezonu. Wyglądało, że byłym gotowy na każdy mecz, ale pod koniec sezonu było naprawdę ciężko trenować i zagrać bez tabletek. Dziękuję PlusLidze i otoczeniu za to, co daliście mi przez wiele lat. To jest super liga i będą za nią tęsknił – wyznał.

Toniutti, jedna z największych gwiazd światowego volleya, w następnym sezonie ma natomiast występować w Turcji. W naszym kraju grał w ZAKSIE i JSW Jastrzębskim Węglu, które doprowadził do wielkich sukcesów. – To trudny moment dla mnie, bo spędziłem tutaj 11 lat. W tym czasie było wiele emocji i wspomnień. Zapamiętam Polskę, bo ten kraj i ta liga dały mi bardzo wiele. Chciałbym podziękować wszystkim, z którymi grałem przez te lata, wszystkim trenerom, z którymi pracowałem, zawodnikom i kibicom – pożegnał się Francuz, dwukrotny mistrz olimpijski, z Tokio i Paryża. **(mic)**

Sport e5e5d9e754

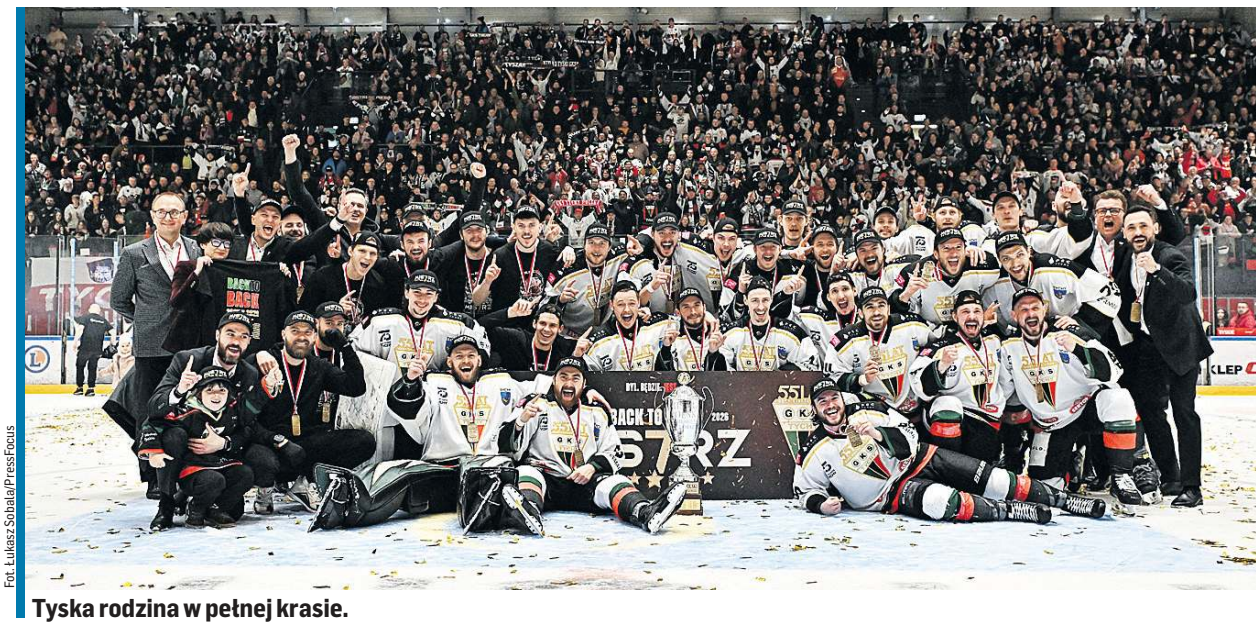
Tysko-fiński spontan!

Zdawaliśmy sobie sprawę, że jedynym i niezwykle wymagającym przeciwnikiem będziemy my sami – wyjawił tuż po dekoracji doświadczony obrońca Mateusz Bryk, który ma niekonwencjonalne spojrzenie na grę swoją i kolegów.

7
GOLI
przepuścił Tomaš Fučik w ośmiu meczach półfinału i finału play offu; w tej części rywalizacji bronił z 94,92-procentową skutecznością.

TAURON HOKEJ LIGA

Na kilka godzin przed czwartym meczem finałowym w Tychach wyczuwało się ogromne napięcie. Trudno się dziwić, wszak do siódmego złota w historii miejscowego GKS-u brakowało tak niewiele, ale najtrudniejszy jest ten ostatni krok. Pekka Tirkkonen, który w lipcu skończy 58 lat, jest zawodowcem w swoim fachu z krwi i kości. Fin hołduje niepisanej zasadzie, że przed spotkaniem wybiera się na spacer i gdy tylko pogoda nie jest zbyt kapryśna, wówczas zalicza kilka rund wokół Stadionu Zimowego.


Fot. Łukasz Sobala/PressFocus

Tyska rodzina w pełnej krasie.

Tym razem, pewnie ze względu na wiatr, zdecydował się spacerować w hali wokół tafli i widać było na jego twarzy niezwykłe skupienie. Doskonale zdawał sobie sprawę z wagi tej potyczki, bo do złota było blisko, ale jednocześnie tak daleko. Jednak już po dekoracji medalami z pozoru chłodny Fin dał upust swojej radości. Kibice skandowali jego imię, zaś on jedną ręką wymachiwał okazałym pucharem, zaś drugą znacząco klepał się po piersi na znak uwielbienia fanów, miasta oraz drużyny. W jednym momencie napięcie nerwowe opadło i trener pokazał swoją, fińską spontaniczność. Jednocześnie zadał kłam, że Skandynawowie nie okazują radości i nie potrafią się cieszyć. Oni zawsze to robią, gdy swoją pracę wykonają perfekcyjnie i zostanie ona odpowiednio nagrodzona. A Fin ze swoimi współpracownikami ma się czym pochwalić: dwa razy mistrzostwo Polski, dwa razy Superpuchar oraz Puchar Polski. Całkiem przyzwoite występy w Hokejowej Lidze Mistrzów, choć zakończone na pierwszej części rywalizacji.

Jedna droga

Jarosław Rzeszutko, dyrektor sportowy, po dekoracji miał powody do satysfakcji, wszak był jednym z głównych konstruktorów zespołu, który sięgnął po złoto.

- Ten sukces to praca zespołowa; tutaj wszystko było analizowane oraz planowane z niezwykłą dokładnością – uśmiechał się szef sportowy. - Starałem się pomóc trenerom w realizowaniu ich wizji kadry, ale były również niekończące się dyskusje dotyczące wzmocnień. Wcale nie ukrywam, że mieliśmy kryzys i kto wie, czy nie najgłębszy w historii klubu. Jednak potrafiliśmy przezwyciężyć trudności, choć nieobecność w finałowym turnieju Pucharu Polski mocno nas zabolała. A potem przyszedł play off i „odpaliliśmy", bo tylko jedna porażka, i to na dodatek na poziomie ćwierćfinałów, to spory wyczyn. Mamy powody do satysfakcji, że drużyna w najważniejszym momencie pokazała całą gamę swoich możliwości. Szliśmy jedną drogą i jestem dumny z zespołu, kibiców, którzy są z nami na dobre i na złe, oraz z miasta, które nas mocno wspiera. Teraz cieszymy się z sukcesu klubowego, ale szybki reset i czas na reprezentację, w której Tyszanie też mają wiele do powiedzenia (śmiech).

Ziarenko niepokoju

Duet defensorów Mateusz Bryk – Bartłomiej Pociecha, choć występował w innych konfiguracjach personalnych (pierwszy z Ollim Petterim Viinikainenem, drugi z Lukasem Kovařem), zaliczył niezwykle udany sezon. Pokusiłbym się o stwierdzenie, że najlepszy, ale obaj natychmiast zareagowali.

- Na taką refleksje przyjdzie czas gdy po sezonie na dobre ochłoniemy – stwierdził Pociecha, który zdobył siódmy tytuł z GKS-em. - Bo my lubimy to, co robimy i cieszymy się z każdej chwili na lodzie – dodał w pełni profesjonalnie Bryk, który ma pięć złotych medali, ale jeden z Jastrzębiem. A po chwili dodał: - Gdy startowaliśmy do play offu, miałem takie ziarenko niepokoju, choć wiedziałem, że praca jaką wykonaliśmy przyniesie efekty. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jedynym i niezwykle wymagającym przeciwnikiem będziemy my sami, wytrzymaliśmy ciśnienie i presję, jaka nam towarzyszyła. Pokazaliśmy solidną defensywę i w efekcie mogliśmy kontrolować niemal wszystkie mecze od początku do końca. Teraz przed nami niekończąca się robota: mistrzostwa świata – dodał z uśmiechem i przymrużeniem oka sympatyczny obrońca.

- Nie obyło się bez chwili słabości, bo gdy przegraliśmy z Jastrzębiem, usiedliśmy w zaciszu szatni i powiedzieliśmy sobie kilka mocniejszych słów: tak nie możemy grać! To jedyne słowa, które mogę wyjawić - śmieje się Pociecha. - Nie spodziewałem się, że rywalizacja się tak potoczy, ale byliśmy taktycznie świetnie przygotowani. Każdy z nas wykonywał zadania na wysokim poziomie, a niektórzy zbliżyli się do perfekcji. Cieszę się z kolejnego medalu oraz powrotu do reprezentacji. Może mi będzie dane znów przeżyć fajne chwile z orzełkiem na piersi.

Ego w kieszeni

Filipa Komorskiego, kapitana GKS-u Tychy, znam od od 15 lat, ale tak niezadowolonego jak w tym sezonie jeszcze nie widziałem. - Chyba się starzeję (pod koniec grudnia skończy 35 lat – przyp. red.), bo każda porażka mnie strasznie boli – wyznał gdy zespół nie awansował do turnieju finałowego Pucharu Polski, a po kolejnej przegranej dodał: - Pora kończyć!

- Trudno nie być szczęśliwym, jeżeli w play offie wygrywa się jedenaście meczów z rzędu – mówi „Komora", bo tak go nazywają koledzy. - Owszem, sezon falował, ale na jego finiszu nasze ego schowaliśmy do kieszeni i wszystko podporządkowaliśmy drużynie. Nieważne, kto strzela, kto podaje, bo liczy się zespół. Takie stawianie sprawy doprowadziło nas do upragnionego celu. To był dobry pomysł, by zrealizować swoje marzenia. Wszyscy pchaliśmy ten kamień do góry i w końcu znalazł się we właściwym miejscu.

Kilku Tyszan zapewne znajdzie się w kadrze przygotowującej się do mistrzostw świata w Sosnowcu. Jednak na tę chwilę wszyscy cieszą się z upragnionego złota, siódmego w historii klubu.

Włodzimierz Sowiński

PIĘĆ PYTAŃ DO...

Każde zwycięstwo nas budowało

BARTŁOMIEJA JEZIORSKIEGO
napastnika GKS-u Tychy



1. Zdobyłeś swoje piąte mistrzostwo Polski, ale w nieco innej roli niż poprzednie. Jak się odnajdujesz jako napastnik czwartej formacji?

- Od początku sezonu mój instynkt strzelecki gdzieś się zagubił, męczyłem się i nie wyglądało to tak, jakbym chciał. W tej sytuacji otrzymałem miano człowieka od „czarnej roboty". Ambicji i waleczności nigdy mi nie brakowało, więc chciałem z tego zadania wywiązać się jak najlepiej. Nie mnie oceniać, jak to wypadło, chyba jednak nie było najgorzej, bo nasz atak z Mateuszem Gościńskim i Valtterim Alirantą dawał się rywalom mocno we znaki. Nie wiem, co życie przyniesie w najbliższym i dalszym czasie, ale raczej należę do ludzi cierpliwych i będę czekał...

2. Które mistrzostwo smakowało najbardziej?

- Każde złoto ma swoją wartość, okupione twardą i nieustępliwą walką, więc dla mnie ma ten sam smak. Wszystkim wydaje się, że tegoroczny play off poszedł nam gładko, jednak to tylko pozory, bo w miarę upływu czasu każdy następny mecz był trudniejszy od poprzedniego. Poprzeczka ciągle wędrowała w górę. Myśmy się rozkręcali, zaś rywale za wszelką cenę chcieli nas powstrzymać. Nie byli jednak w stanie tego zrobić!

3. Czy porażka z Jastrzębiem w drugim meczu na własnym lodzie mocno zabolała?

- Nie chciałbym do niej wracać, bo to już daleka historia i teraz patrzę na złoty krążek. Każda porażka boli, a w play offie jeszcze bardziej. Po niej powiedzieliśmy sobie: do takiej gry już nie możemy dopuścić! Musimy być czujni i skoncentrowani do bólu, od początku do końca. Rywal wykorzystał nasz słabszy dzień i, jak się potem okazało, była to nasza jedyna porażka.

4. Sezon zasadniczy wcale tego jednak nie zapowiadał. Z czego wynikała mało stabilna forma?

- Pierwsza część rozgrywek w naszym wykonaniu, delikatnie mówiąc, była taka sobie. Nasza forma była „w kratkę" i zespół prezentował się właśnie mało stabilnie. Nie funkcjonowaliśmy dobrze w kolektywie. Jednak przed play offem powiedzieliśmy sobie: piszemy nową historię!

5. Czy spodziewałeś się, że do mistrzostwa Polski będzie potrzebne tylko 13 meczów?

- Gdybym mi ktoś zaproponował taką liczbę spotkań, brałbym ją w ciemno. Któż mógł przypuszczać, że z takimi rywalami w półfinale i finale wygramy serie po 4-0? To jednak są tylko liczby, za nimi kryje się nasza gra na sto procent i pełne zaangażowanie. Rywale tylko czyhali, by nam się noga powinęła. Każde zwycięstwo nas wzmacniało, budowało i już byliśmy nie do zatrzymania. Od pierwszego do ostatniego meczu szliśmy razem i tu ogromne wyrazy uznania dla Tomka Fučika. My strzelaliśmy, a on przytrzymywał wynik, kiedy rywale atakowali. Jego postawa była kluczowa, bo dodawała nam skrzydeł i teraz możemy się cieszyć z sukcesu.

Rozmawiał Mateusz Pawlik

Sport e5e5d9e754

Decydujące rozdanie

NHL

To już finisz sezonu zasadniczego i pewne jest, że Colorado Avalanche zapewniła sobie wygraną w Dywizji Atlantyckiej oraz w Konferencji Zachodniej. Lawina w ciągu kilku dni rozegrała dwumecz z St. Louis Blues. Przegrała na własnym lodzie 2:3, ale w St. Louis wygrała 3:1 (2:0, 1:1, 0:0). Colorado patrzy na wszystkich z góry i czeka na rozstrzygnięcie, kto będzie drugi w tej dywizji. Z czwartku na piątek (polskiego czasu) mecz pomiędzy Dallas i Minnesotą.

W meczu z St. Louis w roli głównej wystąpił Walerij Niczuszkin, który zdobył dwa gole (17 i 22 min, w osłabieniu) i goście prowadzili już 3:0. Ponadto na liście strzelców znalazł się niezawodny w tym sezonie Martin Necas (20). Pewnie zwycięstwo byłoby bardziej okazałe, ale Joel Hofer obronił 34 strzały. Scott Wedgewood, jego vis-a-vis, miał 18 udanych interwencji, ale nie zatrzymał uderzenia Roberta Thomasa (34). Niespełna 27-letni Kanadyjczyk w poprzednim meczu zaliczył pierwszy hat trick w lidze, który wówczas przyniósł wygraną. W 51 min goście przeżyli chwilę grozy, bowiem Wedgewood po kolejnej skutecznej interwencji uderzył w słupek i długo leżał na lodzie. W końcu jednak się pozbierał i dotrwał do końca spotkania.

Dallas Stars dzielnie walczą o drugie miejsce, tym razem wygrywając z Calgary Flames 4:3 (0:0, 1:2, 2:1, 1:0) po dogrywce. Gwiazdy przegrywały w 41 min już 1:3, ale po raz drugi w tym sezonie potrafiły wyjść z opresji (w listopadzie przegrywały z Edmontonem 1:3). Teraz zadecydowały dwa gole Wyatta Johnstona (42 i 64) oraz trafienia Justina Hryckowiana (25) i Jasona Robertsona (45). Ten ostatni ma 91 pkt (41 goli+50 podań), z kolei Johnston może pochwalić się 42 trafieniami i 39 asystami.

W tabeli prowadzi Colorado – 112 pkt, przed Carolina – 106, Dallas – 104, Minnesotą, Tampa Bay, Buffalo i Montrealem po 102.

St. Louis – Colorado 1:3, Dallas – Calgary 4:3 i Carolina – Boston 6:5 oba po dogrywkach, Minnesota – Seattle 5:2, New Jersey – Philadelphia 1:5, Ottawa – Tampa Bay 6:2, Montreal – Florida 4:3 i Detroit – Columbus 3:4 oba po karnych, Utah – Edmonton 6:5, Vancouver – Vegas 1:2, Anaheim – Nashville 0:5.

(ws)

„Maksiu" w zespole

Natalia Bukowiecka, Pia Skrzyszowska i Maksymilian Szwed są w składzie reprezentacji na majowy festiwal sztafet w Botswanie.

Niespełna trzydzieścioro zawodniczek i zawodników powołał Polski Związek Lekkiej Atletyki na World Athletics Relays, który odbędzie się 2 i 3 maja w stolicy Botswany, Gaborone. Impreza stanowi główną drogę kwalifikacyjną dla sztafet, m.in. do przyszłorocznych mistrzostw świata w Pekinie - w sztafetach tradycyjnych 4x100 oraz 4x400 m uzyska ją po dwanaście najlepszych zespołów. Cztery pozostałe miejsca zostaną obsadzone na podstawie list światowych sezonu 2027.

Polska wysyła do Afryki silny zespół, w składzie nie zabraknie naszych gwiazd. Do Gaborone polecą m.in. medaliści halowych MŚ z Torunia: Natalia Bukowiecka, Justyna Święty-Ersetic, Anna Gryc i Pia Skrzyszowska oraz Kajetan Duszyński i Marcin Karolewski. Po przerwie spowodowanej kontuzją wraca 400-metrowiec Maksymilian Szwed. – Straciłem sezon halowy i z jednej strony tego żałuję, a z drugiej to z większym apetytem spoglądam na bieganie letnie. Kibiców zapewniam, że jako reprezentacja damy z siebie wszystko – zapowiada „Maksiu".



Fot. Michał Laudy/PressFocus

Maksymilian Szwed, Natalia Bukowiecka Justyna Święty-Ersetic i Kajetan Duszyński - mocna paka do Gaborone.

Wśród powołanych brakuje m.in. najszybszej polskiej sprinterki Ewy Swobody oraz czołowej specjalistki na 400 m Anastazji Kuś, która w maju zdaje maturę.

Dodatkową stawką World Athletics Relays jest wywalczenie prawa startu we wrześniowych World Athletics Ultimate Championships w Budapeszcie. Kwalifikację na to wydarzenie zdobędzie sześć najszybszych sztafet mieszanych 4x100 oraz 4x400 m.

Skład Polski. Kobiety. 4x100: Pia Skrzyszowska, Magdalena Stefanowicz, Magdalena Niemczyk, Monika Romaszko, Aleksandra Piotrowska, Marlena Granaszewska, Jagoda Mierzyńska, Martyna Kotwiła; 4x400: Weronika Bartnowska, Natalia Bukowiecka, Anna Gryc, Karolina Łozowska, Klaudia Osipiuk, Justyna Święty-Ersetic, Alicja Wrona-Kutrzepa.

Mężczyźni. 4x100: Oliwer Wdowik, Dominik Kopeć, Patryk Krupa, Jakub Lempach, Mateusz Siuda, Łukasz Żak, Łukasz Żok; 4x400: Maksymilian Szwed, Kajetan Duszyński, Marcin Karolewski, Mateusz Rzeźniczak, Daniel Sołtysiak, Wiktor Wróbel, Remigiusz Zazula.

(ToM)

DOHA SPADŁA NA CZERWIEC

■ Zaplanowane na 8 maja w Doha w Katarze inauguracyjne zawody Diamentowej Ligi z powodu sytuacji na Bliskim Wschodzie zostały przesunięte na 19 czerwca - poinformowali organizatorzy. Ponieważ w czerwcu w tym rejonie świata spodziewane są upały, zawody zostaną przeniesione z Qatar Sports Club na klimatyzowany Stadion Khalifa. W tej sytuacji premiera diamentowego cyklu odbędzie się 16 maja w Szanghaju. 23 sierpnia w planie jest kolejny mityng cyklu w Chorzowie.

ZNOWU FRANCUZ, ALE NIE TEN

KOLARSTWO

■ Axel Laurance wygrał trzeci etap wyścigu Dookoła Kraju Basków. Francuski kolarz, który jeździ w grupie INEOS Grenadiers, w prowadzącej pod górę końcówce wyprzedził współtowarzysza ucieczki, Hiszpana Igora Arrietę (UAE Team Emirates-XRG). Prowadzenie utrzymał rodak zwycięzcy i triumfator dwóch pierwszych odcinków, rewelacyjny nastolatek Paul Seixas (Decathlon CMA CGM).

Środowy etap liczył 152,8 km, zaczynał się i kończył w miejscowości Basauri i miał – jak zresztą wszystkie inne podczas tej imprezy – pofałdowaną trasę. Tyle że ze wszystkich odcinków tegorocznej edycji był najmniej wymagający i może właśnie dlatego o zwycięstwo powalczyli zawodnicy, którzy załapali się do ucieczki dnia. Tę – także dlatego, że nie znalazł się w niej nikt z czołówki klasyfikacji generalnej – niespecjalnie goniła grupa lidera, której członkowie najwyraźniej oszczędzali siły na kolejne dni, a inne drużyny też były średnio zainteresowane pogonią. Mniej niż 30 km przed końcem, czyli po zaliczeniu wszystkich premii górskich, stało się więc jasne, że peleton nie doścignie uciekinierów. Właśnie wtedy z kilkunastoosobowej czołówki udanie zaatakowali Laurance i Arrieta, którzy wypracowali znaczną przewagę na resztą i między sobą rozstrzygnęli walkę o wygraną na stromym podjeździe. Trzecie miejsce zajął Erytrejczyk Natnael Tesfatsion (Movistar), który stracił do Francuza 14 sekund.

Ogromną moc po raz kolejny pokazał Seixas, który na finałowej ściance zostawił za plecami konkurentów, przyprowadzając do mety dużą grupę nieco ponad minutę po zwycięzcy. W „generalce" będący w wyśmienitej dyspozycji 19-latek o blisko dwie minuty wyprzedza Primoża Roglicia (Red Bull-BORA-hansgrohe), a trzeci jest kolega z drużyny Słoweńca, Niemiec Florian Lipowitz (2.08.). W rywalizacji nie bierze już udziału jeden z faworytów, Isaac del Toro (UAE Team Emirates-XRG). Meksykanin uczestniczył wczoraj w kraksie i na tyle mocno się potłukł, że wycofał się z imprezy.

65. edycja wyścigu Dookoła Kraju Basków (najwyższa kategoria, czyli World Tour) liczy sześć etapów i zakończy się w sobotę. Polacy nie startują.

(g)

KWINTA GRA DALEJ

BADMINTON

■ Dominik Kwinta, wygrywając ze Szwajcarem Julienem Scheiwillerem 2:1, awansował do trzeciej rundy gry pojedynczej mężczyzn w odbywających się w Huelvie mistrzostwach Europy. Wiktoria Górniak przegrała w drugiej rundzie z Niemką Mirandą Wilson 0:2.

Kwinta okazał się lepszym od Helweta 2:1 (21:17, 16:21 i 21:18. Dzień wcześniej wyeliminował Holendra Noaha Haase 2:0 (21:12, 21:13).

Górniak, która rozpoczęła mistrzostwa od drugiej rundy, nie sprostała reprezentantce Niemiec, przegrywając oba sety w stosunku 14:21 i 16:21.

We wtorek Biało-czerwoni przegrali obydwa spotkania deblowe - Adrian Krawczyk i Szymon Ślepecki ze Szwedami Malte Molinem i Maxem Svenssonem 0:2 (15:21, 21:23), a rozstawione z numerem szóstym Kornelia Marczak i Paulina Cybulska z Hiszpankami Paulą Lopez i Lucią Rodriguez 1:2 (21:18, 19:21, 19:21).

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

CZWARTEK, 9 KWIETNIA

TVP SPORT
18.25 Pn: STS Puchar Polski, Raków Częstochowa – GKS Katowice (na żywo)

EUROSPORT 1
15.30 Kolarstwo: Wyścig dookoła Kraju Basków, 4. etap (na żywo); 18.45 Piłka ręczna: Liga Mistrzów, Orlen Wisła Płock – Sporting Lizbona, 20.45 PSG HB – One Veszprem (na żywo)

POLSAT SPORT 1
11.00 Tenis: Turniej ATP w Monte Carlo (na żywo); 17.30 Siatkówka: PlusLiga, Aluron CMC Warta Zawiercie – ZAKSA Kędzierzyn-Koźle, 20.00 Tauron Liga, ITA Tools Stal Mielec – ŁKS Commercecon Łódź (na żywo); 4.00 Tenis: Billie Jean King, Australia – Wielka Brytania (na żywo)

POLSAT SPORT 2
17.00 Tenis: Turniej ATP w Monte Carlo (na żywo); 20.25 Siatkówka: Liga włoska, Gas Sales Bluenergy Piacenza – Sir Susa Scai Perugia (na żywo); 2.25 Pn: Copa Sudamericana, Club Blooming – River Plate Buenos Aires (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 1
10.50 Pn: Liga Europy, Freiburg – Celta Vigo (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 2
17.30 Siatkówka: PlusLiga, Aluron CMC Warta Zawiercie – ZAKSA Kędzierzyn-Koźle (na żywo); 20.50 Pn: Liga Konferencji, Cristal Palace – Fiorentina (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 3
18.30 Squash: El Gouna International Squash Open, półfinał kobiet (na żywo); 20.50 Pn: Liga Konferencji, Mainz – Strasburg (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 4
18.25 Koszykówka: Euroliga, Hapoel Tel Awiw – Olympiakos Pireus (na żywo); 20.50 Pn: Liga Konferencji, Szachtar Donieck – AZ Alkmaar (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
11.00 Tenis: Turniej ATP w Monte Carlo (na żywo); 20.50 Pn: Liga Europy, FC Porto – Nottingham Forest (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2
11.00 Tenis: Turniej ATP w Monte Carlo (na żywo); 18.35 Pn: Liga Konferencji, Rayo Vallecano – AEK Ateny, 20.50 Liga Europy, Bolonia – Aston Villa (na żywo)

SPORT KLUB
20.45 Jeździectwo: Longines FEI World Cup w Fort Worth, skoki przez przeszkody, 1.45 ujeżdżanie (na żywo)

CANAL+ SPORT 2
14.00 Tenis: Turniej WTA w Linzu (na żywo)

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny Tomasz MUCHA
Redaktor wydania Tomasz MUCHA
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba
Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Spółka z o.o., ul. Baczyńskiego 25a; 41-203 Sosnowiec

Sport e5e5d9e754

Polki liczą na energię z trybun

Zrobimy wszystko, by Ukrainki miały jak najcięższą przeprawę, jesteśmy dobrze przygotowane – zapowiedziała Magda Linette przed piątkowo-sobotnią rywalizacją w Gliwicach o finały Billie Jean King Cup.

Biało-czerwone w składzie Magda Linette, Maja Chwalińska, Katarzyna Kawa, Linda Klimovicova i Martyna Kubka są pod wrażeniem gliwickiej PreZero Areny, gdzie już w piątek i w sobotę powalczą z faworyzowanymi Ukrainkami. Liczą na to, że 13-tysięczny obiekt odda im swoją energię. Z tego grona tylko Linette - w końcu półfinalistka wielkoszlemowego Australian Open 2023 - mogła grać na bardziej okazałych arenach, ale na pewno nie przy tak licznym wsparciu polskich fanów.

- Hala jest imponująca. Ten tydzień jest inny od pozostałych, zapamiętam go na cały rok. Czuję troszkę większą presję, ale też jest to przywilej, że tyle osób nas wspiera – stwierdziła Chwalińska. 24-latka mieszka w Bielsku-Białej, pochodzi z Dąbrowy Górniczej, więc będzie miała na trybunach liczny fan club.



Fot. PAP/Jarek Praszkiewicz

Od lewej: Martyna Kubka, Maja Chwalińska i Magda Linette od wtorku są już w Gliwicach i przygotowują się do boju z Ukrainkami.

Coś wyjątkowego

Pod nieobecność Igi Świątek (o czym poniżej) i Magdaleny Fręch liderką kadry w meczu, którego stawką jest awans do turnieju finałowego w Shenzhen (we wrześniu), jest Linette (55. WTA). 34-latka wraca do drużyny narodowej po roku przerwy. W minionym tygodniu z powodu przeziębienia wycofała się z udziału w turnieju WTA 500 w Charleston (USA), ale w środę zapewniła „Sport", że czuje się dobrze, jest w bojowym nastroju i bardzo liczy na energię z trybun.

- Zazwyczaj gramy dla siebie, teraz zagramy dla Polski. To zupełnie inne odczucie, które wiąże się z odpowiedzialnością, ale jest też zaszczytem. Na co dzień nie gramy zbyt często w Polsce, to coś wyjątkowego, cieszę się z tej możliwości – dodała Poznanianka, która już po raz 28. wystąpi w narodowych barwach.

Kapitan Dawid Celt w środę nie chciał zdradzić, kto wystąpi w polskim zespole na drugiej rakiecie; wydaje się, że rywalizują o to Chwalińska (131.) z Kawą (160.). Ta druga dopiero wczoraj po raz pierwszy trenowała w Gliwicach po podróży z Ameryki Południowej, gdzie rywalizowała na mączce w turnieju WTA 250 w Bogocie (odpadła w ćwierćfinale). Chwalińska - po marcowych występach w challengerach w Turcji i Chorwacji - ostatnio szlifowała formę w Bielsku-Białej.

Nie ma Igi, jest Martyna

Cztery z pięciu zawodniczek polska federacja zgłosiła w pierwszym terminie - na początku marca. Tą piątą miała być Świątek, która miała znaczący udział w wygraniu listopadowego turnieju kwalifikacyjnego w Gorzowie Wlkp. Ale jak wiadomo była liderka rankingu po serii słabszych występów przed Wielkanocą zmieniła trenera i od ponad tygodnia przygotowuje się do sezonu na mączce w Akademii Rafaela Nadala na Majorce pod okiem Hiszpana Francisco Roiga i samego „Rafy". - Namawiam zawsze Igę, rozmawiam, przekonuję, ale czasami odbijam się od ściany - przyznał Dawid Celt.

W związku z tym do składu dołączyła Kubka. 24-latka w ubiegłym roku wychodziła na kort w biało-czerwonej koszulce cztery razy - zawsze w grze podwójnej - i odniosła trzy zwycięstwa, dziś jest 174. na świecie w rankingu deblowym. - Świetnie funkcjonuje w zespole i wnosi do reprezentacji dobrą energię. Mocno pracuje na to, by być dla niej jeszcze większą wartością - podkreślił Celt.

Przyjechały najlepsze

Ukraina do Gliwic - w przeciwieństwie do Biało-czerwonych - przyjechała na „galowo", więc w drużynie są dwie najwyżej notowane Elina Switolina (7. WTA) oraz Marta Kostjuk (27.), a także Ołeksandra Ołyjnikowa (68.) i specjalizujące się w grze podwójnej siostry Kiczenok - Ljudmiła (26.) oraz Nadija (64.). - Musimy docenić świetne polskie zawodniczki i być przygotowane na wielką „bitwę", ale wasz zespół jest pod nieco większą presją, grając u siebie – zaznaczyła Switolina.

W piątek początek gier o 16.00 - wtedy odbędą się dwa single; w sobotę o 12.00 najpierw debel, a następnie dwa kolejne single. Wygra drużyna, która pierwsza zdobędzie 3 punkty. Bilety są wciąż do nabycia.

(ToM)

TRZY PYTANIA DO...

DAWIDA CELTA,
kapitana polskiej reprezentacji

1. Jakie pierwsze wrażenia z gliwickiego obiektu, kortów oraz jaka jest atmosfera w drużynie?

- Obiekt prezentuje się imponująco, jest naprawdę świetny, ta hala robi wrażenie. Kort jest przygotowany bardzo dobrze, absolutnie nie mamy na co narzekać. Atmosfera w drużynie w zasadzie zawsze jest dobra, staramy się o nią dbać, budować ją, więc tutaj też nie ma się do czego przyczepić. Jak na razie wszystko przebiega zgodnie z planem.

2. Jak przyjął pan informację, że Iga Świątek ma teraz inne priorytety i przebywa na Majorce, a nie w Gliwicach?

- Robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby Igę przekonać. Rozmawiałem z nią, rozmawiałem z jej teamem. Nie po raz pierwszy mamy do czynienia z taką sytuacją i pewnie nie po raz ostatni. Myślę, że każdy kapitan chciałby mieć taką zawodniczkę w swoim zespole. Natomiast mam też świadomość, że nie jest możliwe, żeby za każdym razem z nami była. Ale za każdym razem ją powołuję, rozmawiam, przekonuję, ale czasami odbijam się od ściany...



3. Pod nieobecność Świątek zdecydowanymi faworytkami będą Ukrainki, w czym więc szukać szansy na zwycięstwo?

- W tym, że my się nigdy nie poddajemy. Wiadomo, wyniki zależą też od tego, kto stoi po drugiej stronie siatki, a tutaj wyzwanie będzie jedno z największych, bo Ukrainki są w najmocniejszym składzie. To jedna z najlepszych drużyn na świecie w tej chwili. Jak nie jesteś w stu procentach gotowy na mecz ze Switoliną czy z Kostjuk, to nie masz czego szukać. Ale niezależnie od tego, kto stoi po drugiej stronie siatki, staramy się walczyć o zwycięstwo. Po ubiegłorocznym meczu w Radomiu jest w nas sportowa złość i chęć rewanżu. Podejdziemy do tego bez większych oczekiwań, ale z nastawieniem na wygraną. Zobaczymy, co nam to da po ostatnim punkcie. Reprezentujemy kraj, to dla nas też jest wielki honor, i staramy się to robić dumnie.

Rozmawiał Tomasz Mucha

No gdzie tak mu dobrze, jak „w domu"!

Hubert Hurkacz wygrał drugi mecz z rzędu i w czwartek powalczy o ćwierćfinał tysięcznika w Monte Carlo.

Wrocławianin do turnieju na przepięknie położonych kortach ziemnych w Monte Carlo - a więc właściwie w swoim drugim domu, wszak w stolicy Księstwa ma swój apartament i często trenuje - przystępował po siedmiu kolejnych przegranych spotkaniach. Czarna seria Huberta Hurkacza zaczęła się od drugiej rundy Australian Open, a później znaczyły ją porażki w pierwszej rundzie w Montpellier, Rotterdamie, Dubaju, Indian Wells, Miami, a nawet w challengerze na Dominikanie.

Seria przegranych poskutkowała rozstaniem z chilijskim trenerem Nicolasem Massu. Impreza w Monako była więc pierwszą, w której występuje bez szkoleniowca - w boksie „robi" za niego sparingpartner Mateusz Terczyński.

We wtorek „Hubi", 74. w ostatnim notowaniu ATP, przełamał złą passę, pokonując rozstawionego z numerem 15. Włocha Luciano Darderiego 7:6 (7-4), 5:7, 6:1. W środę Polak, były numer 6 na świecie, poszedł za ciosem i awansował do 1/8 finału: w zaledwie 72 minuty wygrał z Fabianem Marozsanem 6:2, 6:3. Węgier również jest wyżej notowany od Hurkacza - zajmuje na liście ATP 43. miejsce. Wcześniej spotkali się tylko raz, w 2023 roku w ćwierćfinale w Szanghaju, gdzie zwyciężył Polak. W środę Hurkacz potrzebował pół godziny, by wygrać pierwszego seta. Przewagę zdobył w czwartym gemie, przełamując serwis Marozsana, a ponownie dokonał tego w ósmym gemie i zakończył partię.

Druga była bardziej wyrównana i rozstrzygnęła się w ósmym gemie, gdy Polak przełamał podanie rywala i objął prowadzenie 5:3. Po chwili przy własnym serwisie dokończył dzieła. W całym pojedynku nie dał rywalowi ani jednej szansy na przełamanie. Popełnił tylko pięć niewymuszonych błędów, przy trzynastu rywala.

W 1/8 finału w czwartek przeciwnikiem Hurkacza będzie reprezentant gospodarzy Valentin Vacherot (23. ATP), który zaszokował rozstawionego z numerem 4. Włocha Lorenzo Musettiego, wygrywając 7:6 (8-6), 7:5. Było to drugie zwycięstwo 27-letniego Monakijczyka nad zawodnikiem z Top 5 po półfinałowej wygranej z Novakiem Djokoviciem w drodze po sensacyjny triumf w Szanghaju w październiku - jako 204. tenisista świata, został najniżej notowanym mistrzem turnieju Masters 1000 w historii. W środę Vacherot został pierwszym Monakijczykiem od czasów swojego trenera i przyrodniego brata Benjamina Balereta, który w 2006 roku dotarł do trzeciej rundy turnieju w Księstwie.

(t)

Sport e5e5d9e754



Wojciech Kuczok

WYMIANA KOSZULEK

Pragnienie stałości

W świecie rozchwianym przez codzienne wybryki małpy z atomową brzytwą na podorędziu człowiek tęskni do stałych, niezmiennych wartości, do dawnego, bezpiecznego świata, do rytuałów, którym się oddawał w oswojonej przeszłości. Jednym z takich obrządków, dających mi ukojenie był mundial – nawyk miesięcznego wyłączania się z rzeczywistości na rzecz futbolowych zmagań, obsesyjna potrzeba obejrzenia wszystkich meczów na żywo.

Wiem już, że w tym roku tak się nie stanie – za sprawą tego łotra Infantino piłkarskie mistrzostwa świata spuchły do karykaturalnych rozmiarów, nie będę oglądał o trzeciej nad ranem meczu Republiki Zielonego Przylądka z Arabią Saudyjską.

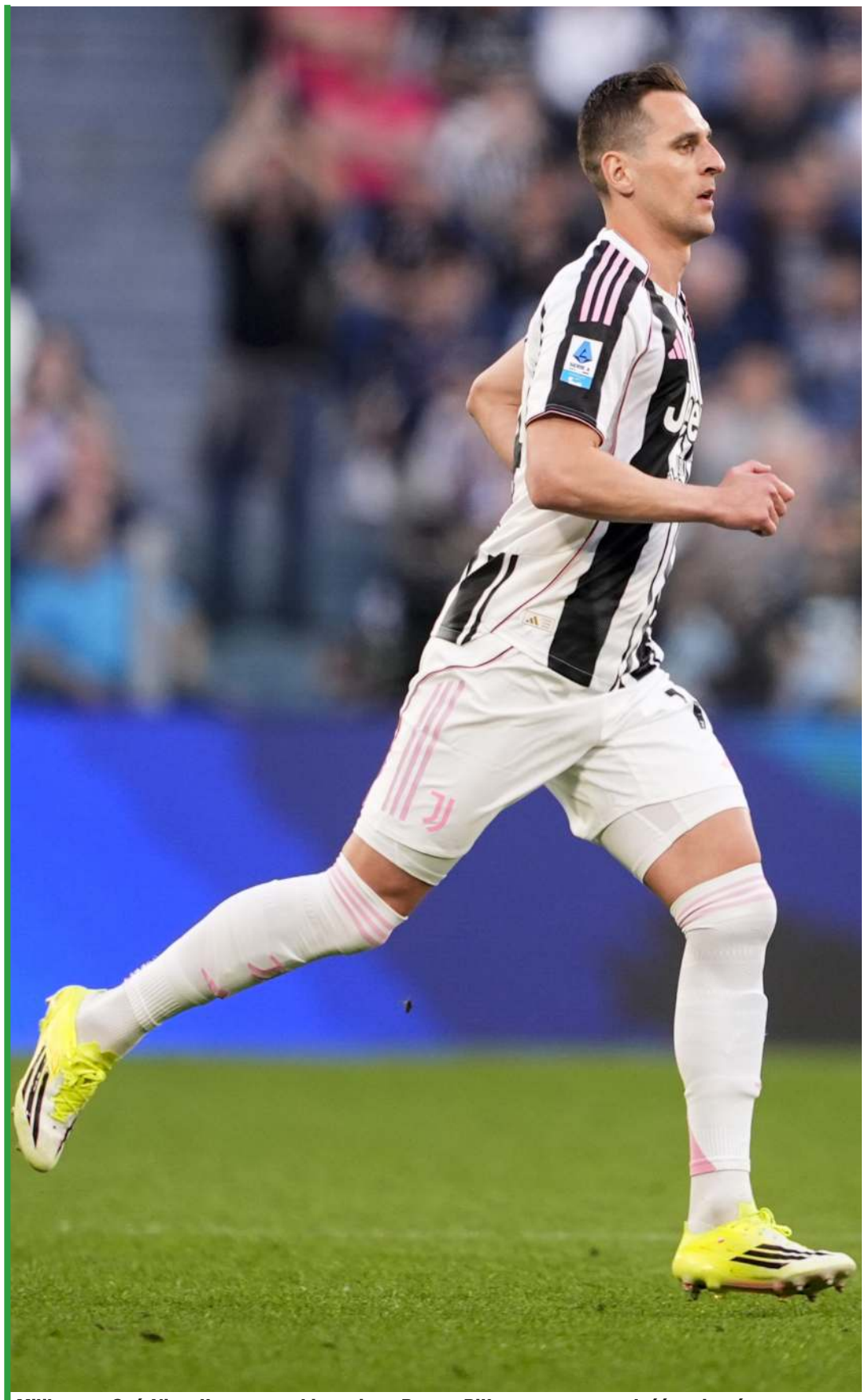
Za sprawą tego łotra Infantino piłkarskie mistrzostwa świata spuchły do karykaturalnych rozmiarów, nie będę oglądał o trzeciej nad ranem meczu Republiki Zielonego Przylądka z Arabią Saudyjską. Przyjdzie czerwiec wyczekiwany przez cztery lata i nagle okaże się czerwcem zwykłym, powszednim, ordynaryjnym.

Przyjdzie czerwiec wyczekiwany przez cztery lata i nagle okaże się czerwcem zwykłym, powszednim, ordynaryjnym - jakaś impreza piłkarska będzie się toczyć na drugim końcu świata, ale potraktuję ją podobnie jak mundial klubowy – zacznę to na poważnie oglądać od fazy pucharowej, najpewniej dopiero od jednej ósmej.

Zarywania nocy nie będzie, zamiast tego poranne oglądanie skrótów, z jakimś poczuciem niespełnienia, niedosytu, bo transowe oglądanie wszystkiego, programowanie dnia pod rejestr transmisji, wszystkie te obrzędy magiczne, do których przywykłem przez dekady, znikną. To już nie będzie święto piłki, poza którą świata nie widać, za to odarcie mundialu z magii nieposkromiony chciwiec Infantino niech się w piekle smaży. Mam też nadzieję, że reprezentacja kraju poganiaczy bydła, głównego gospodarza mistrzostw, nie wyjdzie z grupy, w przeciwieństwie do Iranu, za którym trzymam kciuki tym mocniej, im bardziej agresywne kalumnie i ludobójcze pogróżki wygłasza w ich stronę pomarańczowy bęcwał Trump.

Jakby nie dość było zmian strukturalnych, idiotycznych nowinek regulaminowych, wskutek których na mundialu zagra Szwecja pomimo zajęcia ostatniego miejsca w grupie eliminacyjnej, na czas mistrzostw mają zostać wprowadzone nowe przepisy. Nie jestem fundamentalistą piłkarskim, który uznaje, że piłka nożna została nam zesłana przez Boga jak tablice mojżeszowe, a raz ustalone zasady powinny obowiązywać niezmiennie do końca świata, ale do niektórych pomysłów mam stosunek mocno sceptyczny.

O ile rozszerzenie VARu na analizę potencjalnej drugiej żółtej kartki i na rzuty rożne wydaje się ok, to zmiany dotyczące czasu opuszczania boiska (zmieniany zawodnik ma to uczynić w ciągu 10 sekund) i na wykonanie rzutów rożnych i autów w pięć sekund to może być przeciwskuteczna paranoja. Zanim ten przepis się przyjmie (o ile to w ogóle nastąpi), będziemy świadkami wysypu kartek, kłótni boiskowych i skandali – no bo wyczerpany zawodnik, który o sekundę za późno zwlecze się z boiska, będzie protestował przeciw decyzji sędziego ze stoperem, to jasne. Ja rozumiem, że to wszystko ma na celu wyeliminowanie gry na czas, ale nie wyobrażam sobie restrykcyjnego stosowania tego przepisu.



Fot. LaPresse/SIPA USA/PressFocus

Milik ma to Coś. Nie tylko statystyki czynią go Panem Piłkarzem, czasem dość spojrzeć na to, jak zawodnik się porusza...

Mądrze stać lepiej niż głupio biegać – to jest jedna z moich ulubionych futbolowych prawd, a najwyraźniej można sobie to było zobaczyć na przykładzie ostatniej kolejki ligowej i meczów Porto oraz Barcelony. Pietuszewski biegał dużo i bez sensu, więc po przerwie już na boisko nie wrócił. Lewy grał krótko i dyskretnie, ale wiedział, gdzie piłka go znajdzie.

Owóż, pragnienie stałości zaspokajam gdzie indziej: cieszy mnie na przykład forma Manuela Neuera, bez którego Bayern nie byłby tak skuteczną maszyną do zabijania marzeń, jaką okazał się na Santiago Bernabeu. Czterdziestolatek wybronił kilka fantastycznych uderzeń, nawet przy bramce Mbappe z najbliższej odległości miał coś do powiedzenia i omal piłki nie sparował, miał też kilka wybiegów na czterdziesty metr w swoim dawnym stylu. Czas zdaje się go nie imać: tacy goście jak Neuer, który jest klasą dla siebie od dwóch dekad, przywracają mi błogie samopoczucie.

Lewandowski nie ogłosił końca kariery reprezentacyjnej, i bardzo dobrze, w końcu nadal jest gościem, który strzela zwycięskie bramki dla Barcelony, choć już nie musi w tym celu fruwać w powietrzu, wystarczy, że nastawi bark, a piłka się od niego odbija. Mądrze stać lepiej niż głupio biegać – to jest jedna z moich ulubionych futbolowych prawd, a najwyraźniej można sobie to było zobaczyć na przykładzie ostatniej kolejki ligowej i meczów Porto oraz Barcelony. Pietuszewski biegał dużo i bez sensu, więc po przerwie już na boisko nie wrócił. Lewy grał krótko i dyskretnie, ale wiedział, gdzie piłka go znajdzie. Młodzi niech sobie szarpią, ale mnie cieszy forma weteranów, jestem już po drugiej stronie smugi cienia, fakt, że prawdopodobnie znowu sztandarową parą naszych napastników będzie duet Milik - Lewandowski ma dla mnie działanie kojące.

Milik, jak przystało na okres wielkanocny, zmartwychwstał, po kontuzji i nieprawdopodobnie długiej rekonwalescencji nie ma śladu, dostaje w Juve swoje minuty i znowu pokazuje swoje najlepsze cechy: pewność siebie, nienaganną technikę, finezję i bezczelność. Na razie jeszcze nie trafia, chociaż jest coraz bliżej – z Sassuolo świetnie uderzył głową, z Genoą kropnął z połowy boiska tuż pod spojenie, bramkarz piłkę ledwie sparował.

Nie tylko statystyki czynią go Panem Piłkarzem, czasem dość spojrzeć na to, jak zawodnik się porusza – Milik ma to Coś, jest gościem z instynktem snajpera, ale też przeglądem pola najlepszych rozgrywających – jakże chciałbym, żeby pech wreszcie go opuścił, aby mógł dograć karierę na miarę swojego talentu. Ma dopiero 32 lata, z czego kilka spędził na leczeniu – Milik w formie jest napastnikiem nie do przecenienia, żaden Buksa ze Świderskim i Piątkiem na dokładkę nam go nie zastąpią, jest w stanie jeszcze nam się przydać w kolejnych mistrzowskich imprezach. Może znowu będzie jak dawniej.

Sport e5e5d9e754